

Wspomnienia :: Wołyńskie

Z cmentarza krakowskiego.

Car Mikołaj I pod Łuckiem.

Zsyłka marszałka wołyńskiego.

Jenerałowie: Siemiakin, Nazimow i minister dóbr
skarbowych hr. Wałujew, grabiciele „Warkowicz”.

Dziewosłęby w kaźni twierdzy kijowskiej.

Ukaz grudniowy 1865 roku.

Pan z „chłopów”.

Dwaj mali „czynownicy” i po bitwie pod Salichą
1864 roku.

Zabór Teofipola.

Aleksander „święty” z Burzan.

Cerkiew nad Zbruczem i 4-ch świątków polskich.

Jenerał Czortków lubiciel „klusaków”.

Wyprawa Horodyńskiego na Radziwiłłów 1863 r.



NAKŁADEM AUTORA.

Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego.

1909.

~~ks. ymwent.~~
~~dz. r. 833~~

Stanisław Kądziański.

9/438/

Wspomnienia Wołyńskie

Z cmentarza krakowskiego.
Car Mikołaj I pod Łuckiem.
Zsyłka marszałka wołyńskiego.
Jenerałowie: Siemiakin, Nazimow i minister dóbr
skarbowych hr. Wałujew, grabiciele „Warkowicz”.
Dziewosłoby w kaźni twierdzy kijowskiej.
Ukaz grudniowy 1865 roku.
Pan z „chłopów”.
Dwaj mali „czynownicy” i po bitwie pod Salichą
1864 roku.
Zabór Teofipola.
Aleksander „święty” z Burzan.
Cerkiew nad Zbruczem i 4-ch świątków polskich.
Jenerał Czortków lubiciel „kłusaków”.
Wyprawa Horodyńskiego na Radziwiłłów 1863 roku.

Przedruk zastrzeżony.

NAKŁADEM AUTORA.
POZNAŃ.

CZCIONKAMI DRUKARNI DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO.

1909.



286481

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0173001

W/180/05p



I.

Z cmentarza krakowskiego.

Zwiedzając w tym roku cmentarz krakowski, spotkałem oprowadzane przez młodego Krakowianina widocznie jakieś obce towarzystwo, które, zatrzymawszy się przed gotyckim grobowcem (drugim po lewej ręce od bramy wchodowej), czytało półgłosem ten napis:

„Jestem przychodniem i gościem u was, dajcie mi prawo pogrzebu z wami. Genesis XXIII.“

Po przeczytaniu przewodnik spojrzął na środkowy, nieco spełzły napis i rzekł:

— To hrabia Ledóchowski, z rodziny z nazwiska polskiej, a z przekonań niemieckiej.

A panienka z towarzystwa przerwała mu:

— Czy pan to samo sądzi o gnieźnińsko-poznańskim arcybiskupie-kardynale?

— Kardynał był wyjątkiem, ale inni! n. p. rotmistrz Ledóchowski kaleczy z niemieckiego język polski. Przecież pra-pradziad jego był już generałem austriackim za Marji Teresy i we Wiedniu pochowany został, a prawnukowie jego wysługują się jako paziowie przy dworze austriackim.

Na to panienka się znowu odezwała:

— A czy pan wie, że w Podkamieniu spoczywa Ledóchowski generał polski z tych samych czasów?¹⁾

— Nie przeczę, że przed stu i więcej laty byli oni prawdziwymi Polakami, ale nimi nie są ich potomkowie.

— E, co też pan mówi — odezwała się znowu panienska. — Tatuś ma zbiór portretów wyższych polskich wojskowych z roku 1831, — i między tymi są trzej Ledóchowscy, jeden z nich nawet ranny o kulach.

Po tych słowach towarzystwo odeszło, a ja zbliżyłem się do grobowca i odczytałem, że to jest miejsce spoczynku Romualda Ledóchowskiego, byłego marszałka gubernji wołyńskiej, zmarłego w Krakowie w listopadzie 1871 roku.

Dopiero z tego napisu dowiedziałem się, że w Krakowie pochowany został. Wiadomem mi bowiem było, iż wszyscy inni z tej rodziny spoczywają na Wołyniu, a nawet zwłoki młodszej córki jego „Woroneżanki“,²⁾ która 22 maja 1886 roku umarła w południowej Francji (Cannes), sprowadzone zostały do Jełowicz na Wołyniu.

Mniemam tedy, że z powodu wypadków, doznanych u schyłku życia swego, nieboszczyk sam

¹⁾ Czy ta panienska nazwała podkamienieckiego Ledóchowskiego generałem polskim, ażeby dociąć młodzieńcowi, czy pomyliła się, nie wiem, ale wiem, że w Podkamieniu jest przed tamtejszym kościołem pomnik z napisem:

„D. O. M. Stanisław Ledóchowski podkomorzy krzemieniecki wystawił statuę Matki Najświętszej na tej kolumnie na pamiątkę konfederacyi Tarnogrodzkiej dnia 19 września 1719.“

Być więc może, że panienska wzięła ten posąg mylnie za grobowiec.

²⁾ Urodzonej na wygnaniu marszałka w Woroneżu.

sobie wybrał cmentarz krakowski i ów napis z „Genesis“.

Otóż ta mogiła na względnie obcej dla niego ziemi, jakoteż i sama postać jednego z ostatnich marszałków wybieralnych z Polaków na Wołyniu,³⁾ a posadzonego zapewne przez niewiadomość, że należał do zniemczonych Polaków, przeniosła myśli moje w młodociane lata. Wspomnienia dawne odżyły w pamięci i pobudziły mnie nietylko do skreślenia niejako sprostowania o marszałku Ledóchowskim, lecz i przypomniały mi, że nie można w moim 70 roku życia odraczać napisania niektórych wspomnień o coraz więcej zacieśniających się zdarzeniach z przeszłości.

II.

Car Mikołaj I pod Łuckiem.

Na pewien czas przed wojną krymską w r. 1854, Mikołaj I zarządził wielkie ćwiczenia i przegląd wojsk na Wołyniu pod Łuckiem, w których przeszło 130 000 ludzi różnej broni brało udział, a car uczestniczył.

Nie jestem pewnym, czy główna kwatera była we wsi Kiwircach, ale wiem z pewnością, że właściciel tego majątku Wincenty Piotrowski (ojciec autorki p. Gabrjeli Zapolskiej), jako marszałek powiatowy łucki, w którego powiecie przegląd i ćwiczenia się odbywały, przyjmował u siebie swiętę carską i dla niej dostarczał mnóstwa wina i szampanów — a Romuald Ledóchowski, czy jako spodziewany następca mar-

³⁾ Po nim byli marszałkami: Włodzimierz Sweykowski, Mikulicz, a ostatni Załęski; następni nie byli z wyborów, lecz mianowani przez rząd Rosyanie.

szalka gubernji wołyńskiej, czy jako już wybrany marszałek gubernjalny, ugaszczal przez czas trwania tych ćwiczeń całe wojsko, wysyłając codziennie do obozów z najbliższego majątku swego Ostrożca wódkę, piwo, krupy, chleb, świeże mięso, barany itp.

Podczas tych ćwiczeń nie zaszło nic tak nadzwyczajnego, jak tylko to, że okoliczna młodzież wystąpiła na dziarskich koniach i przyglądała się obrotom wojsk. Mikołaj I ujrawszy tych dzielnych jeźdźców, a jako szlachtę wolnych dotąd od służby wojskowej, wydał „samodzierny przykaz“, ażeby synowie tych właścicieli ziemskich, których rodzice mają więcej po nad stu poddanych, służyli odtąd obowiązkowo przy konnicy.

Po ukończeniu ćwiczeń i przeglądu, Mikołaj I kazał przez następcę tronu, czy przez któregoś z wielkich książąt, wyrazić Wincentemu Piotrowskiemu, Romualdowi Ledóchowskiemu i innym obywatelom swoje monarsze zadowolenie. Tem generał-gubernator kijowski, książę Wasilczikow, — lubo nie był dla Polaków tak nieprzyjawnym, jak jego następca Anienkow, ani tak drapieżnym, jak po nim Bezak, — czuł się pokrzywdzonym i żalił się przed swymi zaufanymi i przed wyższymi „czynownikami“, że udanie się przeglądu i ćwiczeń wojskowych pod Łuckiem było głównie jego zasługą, przeto łaska monarsza, jakiej go pozbawili chytry Polacy, przedewszystkiem jemu się należała.

III.

Zsyłka marszałka wołyńskiego do Woroneża.

Po wstąpieniu na tron cara Aleksandra II, Romuald Ledóchowski jako wołyński marszałek gubernjalny, przygotowywał w porozumieniu się

z innymi obywatelami umysły właścicieli ziemskich, by się zrzekli swych praw pańszczyźnianych — i, gdy prawie wszystkich ku temu pozyskał, wniósł urzędownie z marszałkowskiego urzędu na ręce jen. gub. kijowskiego Bezaka, „najpoddąszą prośbę“ do cara o uwolnienie włościan z poddaństwa i o ich uwłaszczenie na ziemiach i „sadybach“ przez nich używanych.

Wkrótce potem zjawił się u marszałka w Żytomierzu tamtejszy policmajster i wręczywszy mu „koronnuju podorożnuju“⁴⁾ oznajmił po rosyjsku, chociaż dobrze mówił po polsku, że z polecenia „jewo wysokoprewoschoditielstwa“ pana jen. gub. Bezaka, ma zaszczyt prosić jaśnie wielmożnego pana marszałka, ażeby bezzwłocznie *raczył dobrowolnie* wyjechać na mieszkanie do Woroneża i że w razie jakich trudności, może j. w. pan marszałek liczyć na wszelką pomoc policji!

Na tak uprzejme zaproszenie Bezaka, wyrażone przez usta żytomirskiego policmajstra, nie pozostało marszałkowi nic innego, jak tylko uprosić go o kilkogodzinną zwłokę dla udzielenia bawiącemu w Żytomierzu hr. Erazmowi Steckiemu pełnomocnictwa do zawiadowania jego wołyńskimi i podolskimi dobrami. Jednocześnie zaś napisał marszałek żonie do Ostrożca o tem, co zaszło, a szatny Kruszyński zajął się zabranieniem najniezbędniejszych rzeczy. W końcu marszałek pożegnawszy się z hr. Steckim, wsiadł z Kruszyńskim do karety, a usłużny policmajster pożegnawszy marszałka słowy: „szczęśliwej puti waszemu sijatielstwu“ (szczęśliwej podróży j. w. panu) zatrzaskał drzwiczki za nimi. Zaś

⁴⁾ Przekaz na istniejące wówczas prawo pierwszeństwa używania zaprzęgowych koni pocztowych.

marszałkowa wybrała się z dziećmi za mężem w podróż w kilka tygodni później.

Przybycie zesłanego marszałka wołyńskiego do Woroneża zrobiło wprawdzie wielkie wrażenie, ale nie odniosło skutku, jakiego się Bezak spodziewał, tj. zniesławienia i poniżenia zesłańca. Przeciwnie, woroneskie społeczeństwo, w szczególności zaś młodsze pokolenie okazywało marszałkowi największą cześć i współczucie. Tamtejsi „dworjanie“ (szlachta) pozawierali z nim znajomości, urządzali dla niego zabawy i polowania jako dla zapalonego myśliwego. Słowem, marszałek był wszędzie pożądanym; ale choć duchem mocny, nie odczuwając tego na razie, upadał na zdrowiu. Tęsknota za stronami rodzinny i niespodziewany zawód w jego wieloletnich nadziejach złamały go — mimo to o jakichkolwiek krokach z jego strony, któreby mu umożliwiły powrót do kraju, słyszeć nie chciał, i zdaje się, że był przygotowany na długi pobyt, gdyż poszukiwał majątku do kupienia w pobliżu Woroneża.

W takim stanie minął rok jeden. Marszałkowa, która tu w tym czasie szczęśliwie powiła córkę, wyjechała potem na jakiś czas do Ostrożca, a stąd bez wiedzy męża do Petersburga w sprawie zsyłki jej męża.

Władze petersburskie wyraziły się, — niewiadomo, szczerze czy nie, że o zsyłce marszałka wołyńskiego nie były dotąd powiadomione, zapewniły ją przytem, iż poczynią odpowiednie kroki w tej sprawie, i, jeżeli się nie okażą żadne przeszkody, to jej mężowi będzie wolno powrócić na Wołyń. I rzeczywiście po jakimś czasie, wrócił marszałek do Ostrożca, ale z nadwreżonem zdrowiem.

W krótkce po powrocie z Woroneża, zaczęła się ruchawka w Warszawie, wypłoszono tam assafetydą z teatralnego przedstawienia cara Aleksandra II i jego dwóch gości: cesarza austriackiego i króla pruskiego i urządzono im kocią muzykę przed „Łazienkami“. — Kozacy rozpędzali lud nahajkami, podczas obchodów kościelnych — padły strzały na bezbronnych — krew się polała na ulicach Warszawy; wiele osób raniono a pięć zabito, — następnie wybuchło powstanie 1863 roku. W tym czasie zmarł marszałkowi jedyny synek, a zdrowie jego choć nieznacznie, lecz wciąż się pogarszało i, gdy ostatecznie wybrał się po radę lekarską do Krakowa, zakończył życie w tem mieście.

Co było właściwą przyczyną tej ustnie nakazanej zsyłki Romualda Ledóchowskiego do Woroneża, na pewno nie jest wiadomem. Mówiono wówczas, że to było niejako odwzajemnieniem się Bezaka za rzekomą krzywdę, wyrządzoną księciu Wasilczikowowi wskutek owego zadowolenia Mikołaja I w obozie łuckim, jak i za to, że marszałek wołyński poważał się bez poprzedniego zasięgnięcia rady i pozwolenia pana generał-gubernatora wnieść do cara prośbę takiej doniosłości, jak uwłaszczenie włościan!

Poufnie zaś pomiędzy swoimi wyrażał się Bezak, że trzeba jak najkrócej trzymać Polaków i mieć się na baczności, żeby go nie wywiedli w pole, jak przedtem księcia Wasilczikowa.

Od owej pory zaczął się Bezak odgrażać i opowiadać, że chociaż w czasie objęcia przezeń jen-gubernatorstwa, jednego polskiego „pamieszczika“ (właściciela ziemskiego) cztery konie wozu, to on się postara, by do jego ustąpienia z jen-gubernatorstwa, po czterech polskich „pamieszczikow“ tylko jednym koniem jeździło,

aby na ugaszczanie świty carskiej i wojsk w obozach nie mieli pieniędzy i nie marzyli o uwłaszczeniu włościan.

Podejrzowano ogólnie Bezaka, iż on wspomnianej prośby o usamowolnienie włościan wcale carowi Aleksandrowi II nie przedłożył, lecz po „niebłagonadiożności“⁵⁾ marszałka, skazał go na zsyłkę. Te podejrzenia tem więcej zasługiwały na wiarę, ile że wiadomem było, iż car Aleksander II był w zasadzie za zniesieniem pańszczyzny, a tylko ulegając zabiegom „krepostników“ (przeciwników zniesienia pańszczyzny), zwlekał z ostatecznem załatwieniem tej sprawy.

Wobec tego, że caryca Marja Aleksandrowna, wielka księżna Helena, wielki książę Konstanty i wiele innych osobistości najbliższych dworu, w owej porze zwalczała „krepostników“, możnaby twierdzić, że, gdyby Bezak rzeczywiście był przedłożył prośbę Ledóchowskiego do tronu, wymienione osobistości niezawodnie miałyby tyle wpływu, że w najgorszym razie Aleksander II, choćby nawet nie uwzględnił prośby marszałka i usunął go z marszałkostwa, toby go jednak nie skazał na zsyłkę.

To działo się przed powstaniem 1863 roku, t. j. w czasie — kiedy Bezak jeszcze pozornie na przepisy zważał, ale, gdyby to zaszło było podczas powstania lub po powstaniu, to byłby nie tylko zesłał Ledóchowskiego, ale kazałby zabrać natychmiast jego majątki pod *tymczasowy* zarząd izby dóbr skarbowych. Czem zaś może się skończyć taki *tymczasowy* zarząd, dowiedzie poniżej opisana grabież majątku Młodeckich, której nie tylko kilku prawych ministrów i członków rzą-

⁵⁾ „Niebłagonadiożnyj“ = nie rokujący dobrych nadziei, t. j. niepewny.

dającego senatu, ale nawet dwóch carów, Aleksander II i III zapobiedz nie zdołali⁶⁾.

IV.

*Generałowie
Siemiakin i Nazimow
oraz minister dóbr skarbowych
hr. Wajujew,
grabiciele dóbr Warkowicze.*

O tej głośniejszej sprawie, rozpoczętej w r. 1864, a wlokącej się około ćwierć wieku, możnaby złożyć sporą księgę z samych postanowień, rozkazów, zastrzeżeń, wyroków itp. pism wydawanych to na korzyść, to na szkodę ograbionych; ograniczyć się tylko na kilku streszczonych wyjątkach.

Kazimierz Młodecki, były współwłaściciel z matką Darją Młodecką dóbr „Warkowicze“ z przyległościami w gubernii wołyńskiej i samodziśny właściciel m. Brodów zpl., w Galicyi położonych, niegdyś paż i ulubieniec cara Mikołaja I⁷⁾ a późniejszy starszy porucznik konnej

⁶⁾ Takie majątki nadawał rząd zwykle jako nagrodę „zasłużonym“ całkiem darmo, lub sprzedawał za bezcen na częściowe spłaty. To też oni starali się dostarczać jak najwięcej takich majątków.

⁷⁾ Wkrótce po zamianowaniu go porucznikiem konnej gwardyi, naznaczono Młodeckiego jako znawcę do komisji zakupna koni.

Dzień przed wyjazdem komisji z Petersburga, spotkał on jadącego cara i gdy oddał wojskowy ukłon, Mikołaj I skinął na niego, by się zbliżył, i w te odezwał się słowa: „Otrzymałeś młodego porucznika zaszczytne poruczenie, jedź z Bogiem — a jak będziesz u matki, pozdrów ją odemnie tem, że jej syn „trizdy“ młodec, młodoj, Młodeckij“ (potrójnie junak) i odjechał.

Temi słowy chciał car prawdopodobnie więcej go zachęcić do spełniania powierzzonego mu poruczenia, lub wyraził swe upodobanie w bardzo wysokim, urodziwym gwardziście.

gwardji, wniósł w 1862 roku prośbę do cara Aleksandra II o czasowe trzyletnie uwolnienie ze służby na wyjazd za granicę, celem uporządkowania dóbr „Brody”.

Otrzymawszy „Najwyższe zezwolenie“ *) na czas od 5 lipca 1862 do 9 marca 1865 roku, wyjechał do Brodów, a ztąd w jesieni na zimowy pobyt do Francji.

Po wybuchu powstania styczniowego 1863 roku, naczelnik konno-gwardyjskiego pułku, generał-adjutant książę Golicyn, wysłał — na ręce jen. por. Siemiakina, dowódcy oddziału wojsk pograniczno-krzemienieckich, — rosyjskiemu konsulowi Eberhartowi w Brodach pismo służbowe z 14 maja 1863 r. l. 393, celem doręczenia go Kazimierzowi Młodeckiemu. Konsul zaś z powodu jego nieobecności w Austrii odesłał to pismo do Paryża rosyjskiemu poselstwu i uwiadomił o tem jen. Siemiakina.

Ajent wojskowy przy rosyjskiem poselstwie w Paryżu, pułkownik książę Wittgenstein, wezwał pismem z dnia 1/13 stycznia 1864 r. l. 113 bawiącego w Nicei Młodeckiego do Paryża i uwiadomił go, że minister wojny polecił telegraficznie poselstwu wezwać go, by z powodu postawienia jego pułku na stopę wojenną, przerwał dane mu trzyletnie uwolnienie i w najkrótszym czasie stawiał się pod rozkazy jen. Siemiakina, — a w razie, gdyby tego nie mógł wypełnić z powodu udowodnionej słabości, żeby wniósł prośbę o zupełne uwolnienie i wykreślenie go z pułku.

Młodecki dał na to pisemne zobowiązanie się, że do 15 lutego 1864 r. pod rozkazy jen. Siemiakina się stawi i wyjechał wkrótce z Fran-

cji. W czasie nagłych przygotowań do podróży zajął się i niezdrow dojechał do Wiednia, tu wywiązało się jakieś zapalenie, które niebawem szczęśliwie przebył, i tę krótką zwłokę usprawiedliwił świadectwami lekarskimi, wysłanemi do naczelnika pułku księcia Golicyna i do jen. Siemiakina.

Przyjechawszy do Brodów 21 lutego 1864 r., zastał tam oczekującego przybycia jego, posłańca od matki, który mu najpierw oznajmił, że kijowski sąd wojenny skazał go zaocznie za zbiegostwo i udział w powstaniu na dwuletnie zamknięcie w twierdzy, dalej, że matkę z Warkowicz wyrzucono i że ten wspólny majątek, jako też jej osobisty majątek (połowa klucza Korzeckiego⁹⁾, zajęła policja pod tymczasowy zarząd. Matka przeto ostrzegła syna, by na razie wstrzymał się z wyjazdem do Rosyi, aż się wyjaśni jakieś widocznie zaszłe nieporozumienie.

Tej zbrodni sprawcą był właśnie jen. Siemiakin.¹⁰⁾ On bowiem doniósł w lipcu 1863 r. kijowskiemu jen. gubernatorowi Anienkowowi, że starszy porucznik Młodecki, korzystając z udzielonego mu uwolnienia, gromadził za granicą szajki powstańcze, utrzymywał je w swych 70,000-morgowych brodzkich lasach, w umyśle na ten cel pobudowanych szałasach, — słowem, że do napadu powstańców na Radziwiłłów on się najwięcej przyczynił.

Na dowód tego przytoczył, że na wezwanie księcia Golicyna z 14 maja 1863 l. 393 pod jego rozkazy Młodecki się nie stawiał i tego niepo-

⁹⁾ Druga połowa była Hornsteina.

¹⁰⁾ Siemiakin wspólnie z jen. Nazimowem i ministrem dóbr skarbowych czyhali na zagrabienie majątku Młodeckiego, o czem niżej.

⁸⁾ „Wysoczajszij prikaz dannyj po kawalerji ot 5 Julja 1862 goda.“

służenia służbowego niczem nie usprawiedliwił. Zamilił jednak, że konsul w Brodach wspomnianego wezwania ks. Golicyna nie doręczył Młodeckiemu, lecz wysłał je rosyjskiemu poselstwu do Paryża.

To doniesienie Siemiakina odesłał jen.-gub. Anienkow kijowskiemu sądowi wojennemu, który pod przewodnictwem jen. Nowickiego,¹¹⁾ zasądził Młodeckiego zaocznie na dwuletnie zamknięcie w twierdzy, a po odsiedzeniu tej kary na zsyłkę i pod dozór policji do miejscowości, jaką mu jen.-gubernator naznaczy, zaś dobra jego i inne nieruchomości, jakie w Rosji posiada i posiadać może, nakazał zająć „tymczasowo“ pod zarząd Izby dóbr państwowych, by w razie zatwierdzenia wyroku przez jen.-gubernatora zabrać je i przyłączyć do dóbr skarbowych państwa.¹²⁾

Książę Golicyn dowiedziawszy się o wydaniu tego wyroku bez poprzedniego uwiadomienia go o wdrożeniu sprawy karnej przeciw jego podwładnemu, doniósł 25 maja 1864 r. jen.-gub. Anienkowowi, że starszy porucznik jego pułku Kazimierz Młodecki, usprawiedliwił niestawienie się w oznaczonym dniu do służby.

¹¹⁾ Niewiadomo czy krewny lub tylko imiennik osławionego generała żandarmerji kijowskiej w 1890—1900 r. — ale ten sam Nowickij, krwawy sędzia śledczy w Wilnie w r. 1840. O jego bezprawiach wysłał jen.-gub. wileński Mirkowicz nadzwyczajne przedstawienie Mikołajowi I, wskutek czego car wyprawił generała-adjutanta Kawelina do Wilna na śledztwo, dzięki czemu setki uwięzionych uwolniono.

¹²⁾ Tylko osobom pozbawionym *wszystkich praw stanu*, dozwalała ustawa zabierać nieruchomości, a ten sam sąd nie pozbawił Młodeckiego wszystkich praw, tylko niektórych! Była to pomyłka, by z niej skorzystała spółka: Siemiakin, Nazimow i minister dóbr hr. Wałujew?

Anienkow odesłał i to pismo ks. Golicyna sądowi wojennemu, a przewodniczący sądu Nowickij, licząc na lada dzień nastąpić mające ustąpienie Anienkowa, umyślnie nie dołączył tego pisma do akt sprawy, by i śladu o tem doniesieniu w aktach nie było.

Młodecki dowiedziawszy się od posłańca matki, co go spotkało, i nie wiedząc jeszcze o tem, że głównym sprawcą tego był jen. Siemiakin, myślał podobnie jak jego matka, że padł ofiarą jakiegoś nieporozumienia lub kłamliwego o nim doniesienia. — Udał się tedy z prośbą do namiestnika Galicji hr. Mensdorfa-Pouilly o wydanie mu świadectwa, że przy końcu roku 1862 z Brodów i Austrii wyjechał, a dopiero w styczniu 1864 r. z Francji do Wiednia powrócił. Otrzymawszy to poświadczenie, wysłał je jen.-gub. Anienkowowi z prośbą o udzielenie mu „listu żelaznego“, by mógł swobodnie do Kijowa przyjechać i na wolnej stopie będąc, usprawiedliwić się z niewiadomych mu dotąd zarzutów.

Na tę jego prośbę i na wiele następnych wcale mu nie odpowiadano. Podobnież starania matki Młodeckiego, jako współwłaścicielki Warkowicz i samostnej właścicielki oddzielonej jej połowy dóbr Korca zpl., o zwrot tych nieprawnie jej zabranych majątków, nie odnosiły żadnego skutku.

Tymczasem jen. Nazimow nie zasypiał sprawy wydarcia Młodeckim Warkowicz, a minister dóbr skarbowych, o którym mówiono, że był cichym współnikiem Siemiakina i Nazimowa, przyrzekł im, że po zabraniu tych dóbr na skarb państwa postara się, by za niską cenę i na wieloletnią spłatę im je sprzedano.

Następnie oszukując Aleksandra II kłamliwymi przedstawieniami, wyłudził 20 stycznia 1869 r. carskie zatwierdzenie na prawo pierwszeństwa kupna Warkowicz dla jen. Nazimowa, a nie dla Siemiakina, by nie wzbudzić podejrzenia.

Mimo to nie sprzedano tego majątku na razie, tak z powodu zastrzeżeń współwłaścicielki Darji Młodeckiej oraz starań jej syna, jak i sprzeciwiania się niektórych ministrów i członków zgromadzenia rządzącego senatu, co zamierzoną grabież już na około dziesięć lat odroczyło.

W tym czasie był Aleksander II w Jungenheim, w Niemczech, gdzie Młodecki spotkał cara, który go łaskawie przyjął.

Na uzalania się Młodeckiego, że z nim najniesprawiedliwiej postąpiono i że „urzędownie“ nawet nie wie, za co go bez poprzedniego zawezwania zaocznie osądzono, car niedowierzająco zapytał, dla czego, o ile mu wiadomo, przyjął przed kilku laty austriackie poddaństwo, zamiast powrócić do kraju i osobiście popierać swoją sprawę.

Młodecki wytłómaczył się, że przed 10 laty, gdy, przerwawszy „czasowe uwolnienie“, był w podróży do pułku, jego matkę z Warkowicz wydano, a jego oraz matczyny majątek pod zarząd państwowy zajęto. Następnie z dzienników rosyjskich dowiedział się, iż go stopnia wojskowego pozbawiono, na dwuletnie zamknięcie w twierdzy i na zsyłkę pod dozór policyjny osądzono. Jen. gub. Anienkow, jak i jego następca jen. gub. Bezak, na kilkakrotne prośby o wydanie mu „listu żelaznego“ do Kijowa w celu usprawiedliwienia się nawet mu nie odpowiedzieli a jego prawnemu zastępcy różne trudności robili. Wobec tych okoliczności, po-

wrót jego do Rosji stał się niemożliwym, a przyjęcie austriackiego poddaństwa tem więcej okazało się koniecznem, ile że on jako były „mieszany poddany“ (sujet mixte), według rosyjskiej ustawy z r. 1869, obowiązany był wybrać poddaństwo jednego z dwojga państw, w którym dobra posiadał.

Car wysłuchawszy cierpliwie tej obrony, postanowił się, a po dłuższej chwili rzekł:

— Zatem wnies odpowiednią prośbę i oddaj ją Szuwałowowi.

Na tem skończyło się posłuchanie. Młodecki wkrótce potem doreczył taką prośbę hr. Szuwałowowi, — który niebawem ustąpił.

Po upływie kilku miesięcy otrzymał Młodecki przez rosyjskie poselstwo w Berlinie odpowiedź z 5/17 marca 1875 r. l. 399, uwiadamiającą go, za jakie przestępstwa i jak go zasądzono, z tem nadmienieniem, że jen. gub. Bezak zatwierdził wyrok wojennego sądu bez zmiany i, że zasądzonemu naznaczył Orenburg na zsyłkę. Najjaśniejszy Pan jednakże, uwzględniając wyrażone obecnie „najpoddane“ uczucia Młodeckiego, raczył, *zatwierdzając rozporządzenia o zaborze jego dóbr, oswobodzić go od wykonania pozostałych kar, za udział w rokoszu i ucieczkę za granicę*.¹³⁾

Stale od lat 13 za granicą mieszkający i z powrotem do Rosji nie kwapiący się Młodecki, dostąpiwszy tej łaski, że od dwuletniego zamknięcia w twierdzy i od zsyłki do Orenburga car go uwolnił, a tylko zaborem majątku uka-

¹³⁾ „...sochraniaja rasporiażeniia o konfiskacii jeho imuszestwa, oswobodit jeha, Młodeckaho, ot osztal-nych wszyskanij po uczastiju w miateżie i bieżestwie za granicu.



rał¹⁴⁾, zrozumiał to, że po ustąpieniu hr. Szuwałowa, Aleksandrowi II zdołano kłamstwami znowu zamydlić oczy. Udał się tedy do ministra wojny hr. Miljutyna, a przedstawiając:

1) świadectwo rządu austriackiego, że od jesieni 1862 r. do 1864 r. w Brodach i Austrii wcale nie przebywał;

2) świadectwo rządu francuskiego i rosyjskiego poselstwa w Paryżu, że w tym samym czasie stale we Francyi mieszkał;

3) usprawiedliwienie się przed swymi przełożonymi ks. Golicyinem i jen. Siemiakinem, dla czego się nie stawił do czynnej służby;

4) wiadomość, iż ks. Golicyin pismem, 21 maja 1864 r. do jen. Anienkowa wystosowanem, uznał niestawienie się jego do pułku za usprawiedliwione;

5) dowód, że jen. gub. Anienkow odesłał to pismo ks. Golicyina kijowskiemu sądowi wojennemu, a przewodniczący tego sądu Nowickij przeoczył (sic) je, przyłączyć do akt sprawy i że przez to nadał cechę prawdopodobieństwa zarzucenym mu wykroczeniom — prosił ministra wojny, by raczył zbadać jego sprawę, przekonać się, iż w niczem nie jest winnym, przeto zasługuje na to, by p. minister zechciał łaskawie przedstawić jego krzywdę Najjaśniejszemu Panu.

Hr. Miljutyn zajął się bardzo gorliwie zbadańiem tej sprawy i doszedł do przekonania, że Młodecki w niczem nie jest winnym, gdyż nawet jen. Siemiakin, wobec powyższych świadectw, musiał się przyznać, że swoje doniesienie oparł na wiadomościach (gołosłownych) od osób

¹⁴⁾ Za Mikołaja I — za największe przewinienia dzieci — nie naruszano dożywoćnich praw własności rodziców, jak np. niżej pod „Zabór Teofipola“.

ze Lwowa i Brodów — których nazwiska pozapominał (sic).

Hr. Miljutyn nie przedstawił wprawdzie carowi wyniku tych dochodzeń, ale krótko zawiadomił urzędownie Młodeckiego, że *ministerstwo wojny nie byłoby przeciwnem zupełnemu unieważnieniu wydanego wyroku i zwróceniu mu majątku*.

Na podstawie tego pisma ministerjalnego podał Młodecki nową prośbę do cara. — Oszukiwany dotąd Aleksander II, polecił ministrowi wojny hr. Miljutynowi rozpatrzyć jeszcze raz jak najdokładniej sprawę Młodeckiego i zdać sobie o niej sprawę.

W dniu 14 czerwca 1880 roku przedłożył Miljutyn carowi bardzo obszernie sprawozdanie, zakończone następującym ostrożnym wnioskiem:

*„Wobec wszystkich tych okoliczności, prośba Młodeckiego o ponowne rozpatrzenie jego wojennosądowej sprawy i o zwrot przypadającej mu części Warkowickiego majątku, przedstawia się uzasadnioną.“*¹⁵⁾

Aleksander II przeczytawszy to sprawozdanie ministra wojny, polecił rozkazem z 19 czerwca 1880¹⁶⁾ sprawę jeszcze raz rozpatrzyć w radzie ministrów, czy Młodecki jest, czy nie jest winnym zarzucenych mu przestępstw.

Rada ministrów zebrała się pod przewodnictwem hr. Wałujewa, byłego ministra dóbr pań-

¹⁵⁾ W widu wsiech etich obstojatielstw, prośba Młodeckaho o pieresmotrie wojennaho o nim dzieła i o wozwraszczenii prinadleżaszczej jemu czasti Warkowickaho imienija, predstavliajetsia osnovatielnoju.

¹⁶⁾ Wysoczajszeje powielenije ot 19 Junija 1880 goda. Ieho Wielicestwo po razsmotrieniju dokłada wojennaho ministra, Wysoczajsze powielet' soizwolił: obstojatielstwa sieho dzieła razsmotriet' w Komitetie ministrow itd.

stwowych (w sprawie, która mogła i powinna była wykryć nadużycia tego ministra), *lecz nie-
stety podczas nieobecności ministra wojny hr. Mi-
lutyńskiego.*

Dziwnym zbiegiem okoliczności, w tym sa-
mym czasie Anna z Nazimowych Saburowowa,
która już w r. 1874 po śmierci ojca przedsta-
wiła ogólnemu zgromadzeniu Rządzącego Senatu
swoje prawo pierwszeństwa do nabycia dóbr
„Warkowicze“, wniosła t.r.raz na ręce jednego
członka rady, rodzaj zastrzegającego przypomnie-
nia o swoich nieprzedawnionych prawach do
tego majątku!

Zebrana nieprawnie rada ministrów (bez
ministra wojny), niby nie zrozumiałwszy rozkazu
carskiego, nie zajęła się rozpatrzeniem sprawy,
t. j. winy Młodeckiego, lecz rozpatrzeniem przy-
czyn i następstw, jakieby powstały, gdyby od-
dano Warkowicze Młodeckiemu. — Rada tedy
wydała następujące orzeczenie:¹⁷⁾

a) „że według zdania większości ministrów,
nie można naruszać postanowień (kolebat' rie-
szenij) z ciężkiej pory rokoszu (miatieża), zagra-
żającego całości państwa;

b) „że dochodzenie (proizwodstwo) śledcze
tej sprawy przedstawiłoby istotne trudności
(suszczestwitielnyje nieudobstwa);¹⁸⁾

c) że wyrok przeciw Młodeckiemu stał się
prawomocnym;

d) „że wyrok o zabranii majątku Młode-
ckiego pozostaje w sile, stosownie do najwyż-
szego rozkazu 1874 roku, którym jemu zabro-

¹⁷⁾ Wywody orzeczenia od a do f, dosłowne z ro-
syjskiego.

¹⁸⁾ Roszczenia generała Siemiakina i z Nazimo-
wych Saburowowej.

nione przebaczenie (koim isproszeno jemu pro-
szczenije);¹⁹⁾

e) „że ogólne zebranie Rządzącego Senatu
postanowiło, że majątek Młodeckiego nie pod-
lega uwolnieniu od zaboru;²⁰⁾

f) „że przejrzenie tej sprawy wzniciłoby
szereg podobnych domagań innych uczestników
rokoszu, co mogłoby wywołać dotkliwe zawią-
nia dla skarbu państwa.²¹⁾

Tak więc znowu cara oszukano z krzywdą
Młodeckiego.

Ale przeciw takiemu szalbierczemu załatwie-
niu rozkazu carskiego wniósł Młodecki zażalenie
do Aleksandra II, które tymczasowy zawiadowca
ministerstwa wojny generał adjutant Wannowski
(późniejszy minister wojny) już za rządów Ale-
ksandra III 9 lipca 1881 odrzucił.

¹⁹⁾ Z tego wynika, że, jeżeli w błąd wprowadzony
car odmówił zwrotu majątku, to po wyjściu na jaw
tego błędu, samodzierzca nie ma prawa cofnąć odmo-
wy, według zdania większości ministrów.

²⁰⁾ To postanowienie wydał Rządzący Senat wten-
czas, gdy jeszcze nie wiedział, że doniesienie generała
Siemiakina było gołosłowne (zmyślone).

Natomiast rada ministrów zamilczała o później-
szej uchwale tegoż senatu z 25 października 1874 r., by
odnośny departament ministerstwa dóbr skarbowych
zarządził zwrócenie majątku Młodeckiemu, a to w myśl
najwyższego ukazu jeszcze z dnia 11 maja 1873 r., po-
stanawiającego, że wszystkie majątki czy to tymczaso-
wo zajęte, czy ostatecznie na skarb państwa zabrane,
o ile do dnia tego ukazu nie zostały sprzedane lub da-
rowane i nowym właścicielom w posiadanie jeszcze nie
oddane, bezwarunkowo napowrót należy pooddawać
właścicielom, a Warkowicze do początku rządów Ale-
ksandra III, były nie tylko nie sprzedane, ale nawet
nie podzielone, przeto nie było wiadomem, co należało
Kazimierzowi, a co Darji Młodeckim.

²¹⁾ I dla ministra dóbr, który takie majątki poza-
przepaszczał.

Sporo jeszcze spotrzebowano atramentu i papieru w tej sprawie, w końcu Aleksander III rozkazem z 25 stycznia 1882 r., polecił ją po raz ostatni rozpatrzyć osobnej radzie, składającej się z ministrów wojny (Wannowskiego), sprawiedliwości, spraw wewnętrznych i dóbr państwa, a ta rada postanowiła bezwarunkowo odrzucić prośbę Młodeckiego.

Niebawem wyszło najwyższe odmowne rozporządzenie z 24 maja 1882 r., zawiadamiające Młodeckiego, że ostatecznie jego sprawę na zawsze się zamyka!

Mniejsza o to, co się potem z Warkowiczami stało, czy zatrzymał je rząd, czy i pod jakimi warunkami nabyła je z Nazimowych Saburowowa, czy generał Siemiakin, a zakończę tem, jak załatwiono prawa współwłaścicielki Darji Młodeckiej.

Oto po przeszło dwudziesto-letniem grabieniu przez ministra dóbr państwa jej części dochodów z Warkowicz i Korca, spłacił rząd jej prawa, a jak ona na tem wyszła, można wyobrazić sobie, jeżeli np. 3 062 morgów zwartego lasu warkowickiego, za który przed 25 laty ofiarowano 459 000 rubli, rząd ocenił na 27 000 (dwadzieścia siedm tysięcy) rubli!

Ta niska cena — względnie jeszcze nie najgorsza, jeżeli się rozważy, iż nie wiele lat przedtem minister dóbr i spółka wsławili się w daleko większej mierze znaną grabieżą ziem kirgiskich.

V.

Dziwostęby w kaźni twierdzy kijowskiej.

Józef Młodecki, starszy syn Darji otrzymał w dziale Werbę w dubieńskim powiecie i Koszowatę w kijowskiej gubernji. Majątek Koszo-

wata zpl., jeden z największych w tej gubernji, na nieszczęście właściciela już dawno podobiał się generałowi gub. Bezakowi. Po wybuchu powstania 1863 r., „ktoś” (?) doniósł Bezakowi, iż w Koszowatej zbierają się powstańcy.

Bezak kazał natychmiast porwać Józefa Młodeckiego z Werby i zamknąć go jako „niebłagonadiożnaho” w twierdzy kijowskiej.

Po kilku tygodniach, Bezak w poufnej rozmowie z swoim adjutantem ks. Lubomirskim opowiadał mu, że uwięzionego Józefa Młodeckiego, którego sprawa niepomyślny obrót wzięła, prawdopodobnie Sybir nie minie, że co do jego majątku na Wołyniu to jeszcze pół biedy, ale co do Koszowatej, to niepodobieństwem będzie ją ocalić. Oświadczył mu jednocześnie, iż zastanawiał się nad tem, jakim sposobem mógłby nieszczęśliwemu uwięzionemu ubezpieczyć przynajmniej znośne dla jego stanu utrzymanie na wygnaniu i że nie znajduje innego sposobu, jak tylko w sprzedaży Koszowatej, póki jeszcze pora, i w złożeniu pieniędzy w którym z banków.

Następnie zapytał, czy książę nie ma jakiej lepszej myśli, — a w najgorszym razie, gdyby innego sposobu nie było, czy nie podjąłby się pośrednictwa sprzedaży jemu Koszowatej (oczywiście za bezcen).

Księżu adjutantowi wydał się pomysł Bezaka — w tak naglących warunkach jedynym, podjął się więc pośrednictwa. Bezak zaopatrzył go w pisemną przepustkę do zawiadowcy twierdzy, jakoteż w inne potrzebne upoważnienia i oświadczył księżu, że natychmiast odstąpi od zamiaru, jeżeliby się znalazł inny kupiec. Książę wybrał się do Józefa Młodeckiego.

Podczas jazdy do twierdzy przyszła świetna myśl księżu, że zupełnie ukoj ubolewania jene-

rał-gubernatora i Młodeckiego ocali, jeżeli Koszowatę nie Bezak, lecz jego adjutant posiedzie.

Z przepustką Bezaka w rękę dotarł książę do kaźni Młodeckiego i po układach zgodzono się na to, że Józef Młodecki odstąpi księciu Koszowatę, a książę Młodeckiemu swatając córkę, odda jej w posagu Koszowatę, sam zaś z wojska wystąpi.

Po tej umowie pospieszył książę zdać sprawę Bezakowi ze swego poselstwa. Na tę wiadomość Bezak w pierwszej chwili aż pozieleniał z gniewu, wstydu i zazdrości, ale wobec poruczeń i pisemnych upoważnień, danych księciu, udał zadowolenie: tak z powodu pomyślnego obrotu dla Młodeckiego, jak i uniknięcia plotek, gdyby nabył Koszowatę. Życzył tedy księciu szczęścia i niby w dalszej życzliwości kazał zaniechać dochodzenia przeciw Józefowi Młodeckiemu i zesłał go na kilkanaście miesięcy w głąb Rosji. Tym sposobem usprawiedliwił „urzędownie“ nieprawne uwięzienie Młodeckiego i wybrnął z kłopotu, zachowując zemstę na później.

Tymczasem Józef Młodecki, ożeniwszy się z Lubomirską, udał się z młodą żoną na miejsce wyznaczonego mu wygnania, a książę jako ojciec i opiekun objął majątek córki — Koszowatę — w swój zarząd i w posiadanie.

Bezak wkrótce nagłe umarł, następnie Józefostwo Młodeccy wrócili do kraju a potem wybrali się do Galicyi wschodniej, kupili od Węgra Baki de Hette miasteczko Monasterzyska zpl. i tam się osiedlili.

Czy i w czem mógł Józef Młodecki być rządowi rosyjskiemu „niebłagonadiożnym“, to chyba tylko Bezakowi było wiadomem.

VI.

Ukaz grudniowy z r. 1865.

Ukaz ten, zabraniający Polakom nabywania dóbr ziemskich w byłych województwach polskich, posłużył „czynownikom“ do wszelkiego rodzaju nadużyć i łapówek. Czepiano się nawet tych właścicieli ziemskich Polaków, którzy całe lata przed wydaniem tego ukazu dobra lub kawałki ziemi nabyli, a zapomnieli dopełnić chociażby najdrobniejszych przepisanych postanowień. W takich razach nakazywano podobne nabytki sprzedawać, — rozumie się za pół darmo. Jako przykład podaję następujące zdarzenie.

Obywatel Janusz Halka posiadał trzy czwarte odziedziczonego majątku Bokujmy w dubieńskim powiecie, przeważnie lasów kilka tysięcy mórg. Kilkanaście lat przed powstaniem z 1863 roku dokupił od drugiego współwłaściciela pozostałą część tego majątku, tj. same lasy, i stał się właścicielem całego majątku.

Ponieważ Halka zaniechał w swoim czasie zadośćuczynić przepisанemu „wwodowi“, tj. urzędowemu wprowadzeniu w posiadanie przez policję, więc nadarzyła się sposobność przynaglania go do sprzedaży owej dawno nabytej czwartej części majątku. Nie chciano zaś mu udzielić pozwolenia do przeprowadzenia uzupełniającego „wwodu“, jako osobie polskiego pochodzenia, a zatem według ukazu nie mającej prawa do nabywania ziemi.

Bronił się tedy Halka różnymi sposobami, aż w końcu po 30 latach doczekali się spadkobiercy częściowego zniesienia tego ukazu²²⁾ i przy

²²⁾ To zniesienie pozwala obecnie Polakom kupować ziemię od Polaków, lecz i nadal zabrania kupna ziemi od Rosyan.

dziale spadkowym sprzedali cały las do wyrebu według przepisów dzielnicami za 900,000 rubli. Wyrwałość się opłacała — i ziemia z zapustami ocalała!

Ten sam obywatel mieszkał w Smordwie; w tym majątku przodkowie jego zbudowali byli cerkiew unicką obróconą później na prawosławną. W sklepach tej cerkwi spoczywało kilku dawniejszych członków z tej rodziny. Po roku 1863 chciano zwłoki nieboszczyków-katolików powyrzucać ze sklepów. Dopiero po wielu kłopotliwych staraniach pozostawiono je w spokoju.

Jeżeli za wielkorządztwa Anienkowa, a szczególnie za Bezaka mnóstwo podobnych utrapień doznawali ludzie zamożni, którzy bądź stosunkami, bądź pieniędzmi bronić się umieli, to wyobrazić sobie można, co to „czynownictwo“ wyprawiało z ludźmi mniej zamożnymi i biednymi.

Za lada najmniejszy dług sprzedawano nagle za bezcen majątki polskich właścicieli narażając ich samych na zupełne zniszczenie, a ich wierzycieli na niepowetowane straty, z powodu nieubezpieczenia ich wierzytelności, gdyż w Rosyi nie istniały (a może i teraz nie istnieją) księgi ubezpieczeń. Dla przykładu przytaczam, że miasteczko Derażno²³⁾ z trzema wioskami, co prawda piaszczystej ziemi z przetrzebionymi lasami na Polesiu Rówieńskim sprzedano w Petersburgu, bez poprzedniego zawiadomienia właściciela Podhorodyńskiego, za dług zaskarżony poczmistrzowi z Żytomierza za kilka set rubli, powtarzam najwyraźniej, za niżej od tysiąca

²³⁾ Nie mieszać z miasteczkiem Derażnią w podolskiej gubernji.

rubli, bez żadnych dalszych zobowiązań dla innych wierzycieli!

Ale „male parta“ poszła do czarta, synowie poczmistrza, pijacy ostatniego rzędu, od rana do nocy wałęsali się po karczmach i niezawodnie już dawno przepili swe dobra.

VII.

Pan z „Chłopów“.

Właściciel ziemski Dyonizy Kadłubiski, będąc wiosną 1863 r. w Łucku, na śniadanku, przy kieliszku węgryzyna, odezwał się w żarcie do grona rozmawiającego o powstaniu, temi słowy:

„Zalóżmy się, że na moje wezwanie jako pana z chłopów co najmniej połowa Litwy stawie się gdzie zechcę!“

Obecny przytem „łapacz“ policyjny, doniósł o tem policmajstrowi. Ten wezwał Kadłubskiego do wytłómaczenia się, co on ustnie tem usprawiedliwił, że to powiedział w żarcie, by zachęcić obecnych do zakładu, żart zaś polegał na tem, że jako właściciel ziemski, mając poddanych dla niego pracujących, jest właściwie panem z pracy chłopów, a ponieważ jego majątek, jak policji wiadomo, nazywa się „Litwa“, więc poddani stawiają się do robót gospodarczych, skoro tylko ich zawezwie.

Policmajster przyjął to usprawiedliwienie niby niedowierzająco, a ponieważ Kadłubiski nie chciał się dorożumieć, o co policmajstrowi chodziło, więc doniósł o tem do władzy wyższej.

Wkrótce potem nadeszło z Żytomierza rozporządzenie, ażeby Kadłubskiego zesłać natychmiast do Penzy, — a było to przed świętami wielkanocnymi.

Kadłubiski porwany nagle z grona rodziny, odbył samotnie święta w Penzie, podczas których napisał kilka rzewnych dumek w małoskopskim języku, których odpisy zaginęły mi w czasie mego pobytu w Sybirze.

Po długich staraniach udało się Kadłubickiemu przekonać władze petersburskie, że te jego słowa o stawieniu się połowy Litwy nie były urąganiem się państwu rosyjskiemu, a tem mniej złym zamiarem, lecz żartem przy kieliszku węgryzna.

Ostatecznie po sprawdzeniu jego obrony przez policję łucką oraz faktu, że jego wioska rzeczywiście zwie się Litwą (o czem przecież policja i przedtem wiedziała), pozwolono Kadłubickiemu wrócić do majątku.

VIII.

Dwaj mali czynownicy.

Z pomiędzy ówczesnej rzeszy urzędniczej, gnębiącej naród, wyszczególniali się ludzkością Hoc i Lewicki.

Hoc, a właściwie *Hotz*, pochodzący z Niemców, lecz zupełnie zruszczony, był przed powstaniem „horodniczym w Dubnie, a w roku 1863 „isprawnikiem“ (naczelnikiem powiatu) w Równem. Był to człowiek wprawdzie nieco dokuczliwy, ale przytem nieszkodliwy i dobroduszny. Był on zagorzałym przeciwnikiem powstania, które stłumić pragnął, ale w taki sposób — by wilk był syty i owca cała.

W swoim rodzaju dziwny ten człowiek wierzył sam w swoją urojoną srogość; na domy i dwory polskie napadał, przeszukiwał je od piwnic do strychów, uganiał się po lasach za powstańcami, a gdy kiedyś podejrzanego spotkał, to obił go harapem i do domu napędził. A miał

zwyczaj zaklinać się na wszystkie świętości, że wszelki polski „bunt“ i „niebłagonadiożnyje zatiejania“ (niebezpieczne podbechtywania) z kozeniem w powiecie wypłeni!

Wykrzykiwał on i srożył się nie tylko na osoby napadnięte, lecz i na nieobecne, z czego nieomylnie wnioskowano, że ten lub ów sąsiad mógł się spodziewać najazdu Hoca. O tem się wzajemnie powiadamiano i odpowiednio na najścia i przeszukiwania przygotowywano. — Hoc rzeczywiście się pojawiał — i, jak zawsze, kończyło się na krzyku, a gdy kto przez własną nieostrożność wlaź mu w łapy, to jeżeli tylko Hocowi możebnem było, załatwiał jego sprawę sumiennie w swoim urzędzie, ale władzom wyższym jak najmniej dostarczał danych do napaści i grabieży.

Pewnego razu zgłosił się do Hoca pewien młody obywatel i w zaufaniu pokazał mu wezwanie Rządu narodowego do stawienia się do obozu powstańców, mówił, że, ponieważ chciałby się uchylić od wykonania tego rozkazu, przeto uda się z podaniem do gubernatora o wydanie mu paszportu do wyjazdu za granicę i prosił Hoca o przychylne o nim sprawozdanie. — Zapytał przytem Hoc, czy byłby tak łaskawym i w razie jego wyjazdu przyjął rodzaj opieki nad jego majątkiem. Hoc, zapalony myśliwy, podjął się tej opieki, zwłaszcza, że mógłby polować jakby we własnym majątku, nie potrzebując zaciągać zobowiązań na pozwolenie w innych majątkach.

Wkrótce potem otrzymał ten obywatel paszport i wyjechał, a Hoc, o ile mu czasu wolnego zbywało, nie zaniedbywał doglądania gospodarstwa przez rok przeszło, a po powrocie właściciela najrzetelniej złożył mu rachunki i pieniądze.

Poufnie przebąkiwano, że panicz obywatel wyjechał wprawdzie za granicę, lecz jakoby ztamtąd już za cudzoziemskim paszportem z polecenia rządu narodowego jeździł to do Warszawy, to za granicę, a po upadku powstania ze swoim własnym paszportem wrócił do majątku.

Być może, iż ta niesprawdzona pogłoska stała się przyczyną, że wkrótce potem kazał gubernator Hocowi podać się „w odставку” z powodu niezdolności w urzędowaniu.

Stanisław Lewicki „stanowy” (podwładny naczelnika powiatu) w miasteczku Czowhanie-Teofipolu,²⁴⁾ nie był tak krzykliwym, jak Hoc, lecz w cichości, o ile mu to w owych czasach możebne było, patrzył przez palce i z powodu tego ściał na siebie podejrzenie przełożonych jakoby pośrednio wspierał powstanie. Śledzono jego czynności, ale nic nie wykryto, przeciwnie, on gorliwiej niż inni „stanowi” w powiecie, ściał nałożoną już „kontrybucję” na polskich właścicieli ziemskich, przeważnie sposobem koniecznych sprzedaży ich zapasów zboża itp., co go ucalało do czasu, że go nie pozbawiono urzędu.

Po bitwie pod Salichą,²⁵⁾ wioską zasławskiego powiatu, przywieziono z pola bitwy dwóch ciężko rannych powstańców do wsi Wolicy, należącej do obwodu Lewickiego, i powierzono mu obudwóch do czasu, aż ich zdrowie o tyle się poprawi, że będzie można ich przewieźć do Kijowa. Przytem polecono Lewickie-

²⁴⁾ Teofipol, nowsza nazwa urzędowa, lecz u ludu wciąż jeszcze Czowhan.

²⁵⁾ Była to bitwa generała Różyckiego. W niej walczyło 500 konnicy polskiej, przeciw 1000 piechoty rosyjskiej i dwóm sotniom kozaków, przyczem padło do 100 ludzi z rosyjskiej strony i 40 z polskiej.

mu spisać z nimi protokół, skoro tylko wróć do przytomności, i natychmiast odesłać go do Kijowa.

Ranni ci byli: major-obywatel Mazewski i podporucznik Żółkiewski. Ostatni umarł na-
zajutrz, a o Mazewskim doniósł Lewicki, że na-
razie o niczem się od niego dowiedzieć nie może,
gdyż na wszystkie pytania odpowiada tylko:
Weber... Weberowa... Weber.

Po kilku dniach — nie wiem z pewnością —
czy przy czynnem współdziałaniu Lewickiego,
czy bez, przemycono Mazewskiego w nocy do
granicznej wsi „Toki” w pobliżu Podwołoczysk,
czem go od szubienicy lub rozstrzelania ocalono.

Następnego poranku Lewicki, mając około
18,000 rubli zebranych z kontrybucji, wybrał
się z uzbrojonym woźnym do Starego Konstan-
tynowa, ażeby te pieniądze złożyć w tamtejszem
„kaznaczejstwie”.²⁶⁾

W połowie drogi dopędził go konno jeden
ze znajomych w przebraniu, podał mu zapieczę-
towane pismo i rzekł głośno:

„W tem piśmie wszystko o tem zabójstwie
napisano”, a nawróciwszy konia, jeździec pocwa-
łował w stronę, zkąd przybył. Z tego pisma
dowiedział się Lewicki, że przybył z Kijowa po-
rucznik z dwoma żandarmami, a nie znalazłszy
rannego Mazewskiego, oczekuje powrotu Lewi-
ckiego. Kazał tedy zawrócić do pobliskiej siel-
skiej stacji pocztowej, tam napisał krótki list
do kaznaczejstwa, który wraz z pieniędzmi kon-
trybucyjnymi, przy świadkach przeliczonemi, za-
pieczętował i, oddając go woźnemu, kazał za-
wieźć do kaznaczejstwa, a potwierdzenie z od-
bioru pieniędzy, gdyby z miejsca zabójstwa dziś

²⁶⁾ „Kaznaczejstwo” — główna kasa powiatowa.

nie powrócił, oddać starszemu pisarzowi Moszyńskiemu.

Woźny odjechał pocztowymi końmi, — Lewicki zaś nie mogąc się odważyć wrócić do domu, ruszył ku granicy, do której o północy przyjechał. Tu zostawił u znajomego swój tarantas z parą koni i w tem tylko, co miał na sobie, podkraść się do granicy, mimo rany, jaką otrzymał piką od konnego „objezdczyka“²⁷⁾, przebiegł w bród graniczny Zbrucz i dowlókl się do wsi Toków, gdzie rannego majora Mazewskiego jeszcze zastał.

Po kilkodniowym wypoczynku wyjechał Lewicki do Paryża, gdzie otrzymał posadę w pewnem biurze. Synkiem jego (L. był wdowcem), chłopakiem 9 letnim zaopiekował się Ksawery Ceryna, właściciel wsi Korczówki, zabrał go do siebie, a, jak później Cerynę uwięzili i na Sybir zesłali, to rząd oddał chłopaka na wychowanie do dozórcy szkoły w Teofipolu. Obchodzenie się dozórcy z nieszczęśliwym chłopakiem było tak okrutne, że chłopak kilka razy mu uciekł. Przyjaciele Lewickiego donieśli mu o tem, dodając, że nikt nie może teraz bez narażenia się pomóc jego dziecku w jakikolwiek sposób. To było powodem, że opuścił Paryż — przybył do Lwowa i po wielu trudnościach zdołał przez przemysłników porwać i uprowadzić chłopca do Galicji.

Dopiero po upływie 10 lat, kijowski sąd wojenny zasądził wiosną 1873 r. Lewickiego zaocznie na dożywotne katorżne roboty. W powodach wyroku zarzucono mu, iż zawsze był wrogo dla rządu usposobiony, że jeszcze przed powstaniem z 1863 r. w złym zamiarze dopuścił do

²⁷⁾ „Objezdczyk“ — żołnierz pogranicznej straży.

tego, iż Kotarbiński, pełnomocnik dóbr Teofipola (podległych zabraniu na skarb państwa, po śmierci ks. Sapieżyny ich dożywotniczek), poniszczył lasy i sady, że powywoził z dworu najcenniejsze przedmioty na korzyść księżnej.

Zarzucono mu dalej, że podczas powstania w r. 1863 ścigał wprawdzie najgorliwiej kontrybucję, ale, jak się później okazało, czynił to w porozumieniu z płacącymi, by uspić czujność władz, że wydawał nieprawnie przepustki i półpaski za granicę, że ułatwił ucieczkę za granicę osobie bardzo niebezpiecznej państwu a jemu powierzanej (Mazewskiemu?), że ułatwiał przemycanie z zagranicy broni i prochu dla powstańców itp.

Odpisy tego wyroku otrzymały wszystkie urzędy nadgraniczne i konsulaty rosyjskie z dodaniem rysopisu Lewickiego, w celu poznania go, jeżeliby kiedy przekroczył granicę, — z czem on się wcale nie spieszył.

IX.

Zabór Teofipola.

Miasteczko Czowhan-Teofipol zpl., niedaleko od granicy wołyńsko galicyjskiej położone, było własnością ks. Sapieżyny, matki ks. Leona, pierwszego marszałka sejmu we Lwowie.

Książę Leon nie odziedziczył tego majątku, gdyż po wojnie polskiej w 1831 r., pozbawiono go zaocznie dziedzictwa po matce za udział w rządzie polskim z owego czasu. Zrobiono zastrzeżenie, że właściciele tego majątku nie wolno go sprzedawać, darować, zamieniać, podzielić, a tylko dożywotnio wedle przepisu nim zarządzać i pobierać dochody.

Ku największemu umartwieniu takich Bibikowych, Bezaków, Czortkowych itp., czyhających na podobne gratki, jak zagrabieniu podległe dobra, księżna matka długie lata jako dożywotniczka przeżyła i pobierała z Teofipola dochody.

Po jej śmierci nabył część majątku Płaczkowski, niegdyś wyższy jakiś czynownik, a w czasie nabycia przewodniczący „zjazdu” (sądu wyższego) sędziów pokoju w Starym Konstantynowie.

Czy tę część dóbr kupił za podobną cenę jak ongi pocztmistrz żytomirski Derażno, czy otrzymał jako darowiznę, nie umiem powiedzieć, wiem tylko, że zabrał się szczerze do podniesienia zaniedbanego majątku, nie szczędził nakładów, zacząwszy od budynków gospodarczych, a skończywszy na postawieniu wielkiego młyna walcowego. Młyn ten po zupełnem wykończeniu, nazajutrz po puszczeniu go w ruch, od pioruna się zapalił i zgorzał ze wszystkimi urządzeniami i zapasami zboża i mąki.

Gdy Płaczkowskiemu doniesiono o tym wypadku, westchnął głęboko i wymknęły mu się słowa: „eto nakazanie za 1863 god!” (To kara za 1863 rok).

Czem i gdzie on w 1863 roku tak obarczył sumienie, nie było w tamtych stronach wiadomem, a jako o ówczesnym sędzi pokoju mówiło o nim w ogóle dobrze.

X.

Aleksander „święty” z Burzan.

Jak Syrjusz wśród ciemnej nocy — jaśniał miłością bliźniego skromny mąż, zamożny właściciel Burzan, zwany powszechnie Aleksandrem „świętym”.

On to w czasie najokrutniejszego ucisku po upadku powstania 1863 roku był dobroczyńcą i opiekunem okolicy. Sąsiadów upadających podtrzymywał, — Polaków z urzędów powydanych wspierał, majątki wielu rodzin ocalił od podobnych grabieży, jakiej uległo Derażno, — poświęcając na te cele swoją gotówkę zapasową i bieżące dochody z dóbr.

Wieść niosła wówczas, że krocie porozdarywał i porozpożyczał, ale nic pewnego nikt o tem nie wiedział i wiedzieć nie mógł, gdyż we cztery oczy pożyczki udzielał, lub sam pocztą rozsyłał. Zapisy dłużne, weksle — i niekiedy zwracane mu zaliczki pieniężne tylko do rąk własnych odbierał, w osobnej kasie je przechowywał a kluczy od niej nigdy nikomu nie powierzał.

Gdy po jego śmierci przystąpiono do spisowania pozostałości i z kolei otworzono tę jego kasę osobistą, ujrano na wewnętrznym jej wieku duży napis:

„*Wiano dla mojej Maryni*” — i cóż znalaziono?

Oto stopy listów dziękczynnych, — mnóstwo weksli — i zapisów dłużnych, — z góry jego ręką w tym celu pounieważnianych, ażeby dłużnicy w razie niemożebności uiszczenia się nie mogli być sądownie turbowani.

Wtenczas dopiero okazało się, jaki wzór po sobie — jakie wiano posagowe zostawił w spadku, oprócz majątku Burzan zpl., swej nieletniej córce jedynaczce jej ojciec, zwany „świętym”, Aleksander Zagórski.

Był czas, w którym Burzany z kilkunastoma folwarkami na Wołyniu w powiecie włodzimierskim położone, omal że prawem pokrewieństwa i spadku nie przeszły na rodzinę Boturlinów.

Bezdzietnego jeszcze Aleksandra Zagórskiego usiłował niewyśledzony złoczynca zgładzić trucizną, tak że pewien czas był między życiem a śmiercią; dopiero później doczekał się córki.

XI.

Cerkiew nad Zbruczem i 4 świątków „polskich.”

W Fryderykowie, kluczu położonym nad granicą wołyńsko-galicyjską, poprzednia właścicielka hr. Szembekowa rozpoczęła była przed wielu laty budowę nowej cerkwi na wzgórzu, widzianem z daleka po obu stronach granicy. Cerkiew ta miała zastąpić starą drewnianą cerkiewkę, znajdującą się niżej nad brzegiem Zbrucza.

Po doprowadzeniu murowanych ścian do wysokości około trzech sążni przerwała właścicielka budowę, a potem sprzedała ten majątek Anieli Małyńskiej mieszkającej później stale w dubieńskim powiecie.

W kilkanaście lat po nabyciu tego majątku — a w kilka po powstaniu z 1863 r., postanowiły władze rządowe zabrać istniejący kościół murowany i przeistoczyć go na cerkiew prawosławną, jak tylko proboszcz tego kościoła ksiądz Więckowski, człowiek wątłego zdrowia, zakończy życie.

Oczekiwanie jednak zawiodło, proboszcz bowiem chociaż kilkanaście lat pokaszliwał, ale żył. Przedłużone jego życie ocaliło kościół od zaboru.

Około roku 1885—86, przybył pewien wysoki „czynownik” do Fryderykowa, który urządził drewnianą cerkiewkę a murowany kościół i dowiedziawszy się, iż przedłużające się życie

proboszcza jest przyczyną, że już dawno kościoła na cerkiew nie zabrano i że mury, stojące od lat wielu na wzgórzu, były na cerkiew rozpozczęte, wyrzekł zasadę, że ze stanowiska chrześcijańskiego nie godzi się wyczekiwać śmierci proboszcza a parafian pozbawiać bliskiego kościoła. Przyrzekł tedy uroczyście, że zrobi przedstawienie, ażeby rząd udzielił potrzebnych zasobów pieniężnych do wykończenia tej niegdyś zaczętej cerkwi na wzgórzu — i dotrzymał słowa.

Następnego lata, w samym początku zniw, zjechał do Fryderykowa żytomirski budowniczy Astrachanow z murarzami i pomocnikami. Na pokrycie wszelkich wydatków miał przekaz płatniczy do kasy fryderykowieckiego majątku, a w razie odmowy nakaz wyższej władzy rządowej do policji zajęcia dochodów z dóbr właścicielki majątku, — z tą uwagą, że gdyby to dla niej było uciążliwem, może się rozprawić sądownie z poprzednią właścicielką, której obowiązkiem było tę cerkiew wykończyć. Niby nie wiadano o tem, że w tej sprawie zaszło już podwójne przedawnienie.

Zupełne wykończenie cerkwi trwało lat kilka. Okolono ją pięknymi sztchetami i dodano jej spory obszar ziemi dla popa na mieszkanie, inne budynki i ogród; posadzano drzewa i poczyniono różne upiększenia.

Ale jak przedtem naglono do wykończenia cerkwi, tak potem zwlekano pod różnymi pozorami jej urzędowe przyjęcie, żądając różnych przeróbek, chociaż przysłany przez władzę budowniczy wykonał wszystko według planów jemu udzielonych.

Tymczasem w tej na uboczu stojącej cerkwi, mimo utrzymywanego przez właścicielkę stróża,

wyrywano sztachety, posadzone drzewa, wybijano szyby w oknach itp. czyniono szkody, które uzupełniać należało. — Aż w końcu po wielu obietnicach z jednej, a staraniach... z drugiej strony, władza objęła cerkiew w posiadanie.

Po kilkunastu miesiącach otrzymała właścicielka majątku od wyższej władzy nader pochlebne pismo za jej ofiarną gorliwość chrześcijańską, okazaną dobrowolnem (?) wykończeniem cerkwi.

W miasteczku Ożogowcach, oddalonym 8 do 10 kilometrów od Fryderykowa, stał od wielu lat zamknięty kościół katolicki. Dopiero około r. 1880 zamyślono przerobić go na cerkiew prawosławną.

Wtenczas zastanawiano się nad tem, że przed kościołem stały cztery kamienne posągi świętych a nie wiadano jakich, aż po wielu rozpoznawaniach orzeczono, że to świątki „polscy“, przeto należy ich usunąć.

Udano się tedy do właściciela Ożogowic Jana Małyńskiego (a zatem do prawnego właściciela zabranego kościoła, gdyż przez jego poprzedników wystawionego) z przedstawieniem, by on jako katolik nie dopuścił do tego, iżby „polskie“ świątki poszły w poniewierkę, lecz by odkupił ich i zabrał do siebie!

XII.

Generał-gubernator Czortkow, amator wyścigowych kłusaków.

Właściciel miasteczka Kodni zpl., pod Żytomierzem, Apolon Ledóchowski, miał w tym czasie, kiedy Czortkow był tylko pomocnikiem gubernatora żytomirskiego, dzielnego kłusaka.

„orłowskiego“²⁸⁾ i pewnego razu jadąc w Żytomierzu „linijką“²⁹⁾ wyprzedził kilka razy także linijką jadącego Czortkowa.

Nazajutrz posłał Czortkow pośrednika do Ledóchowskiego o kupno lub zamianę konia; w rzeczywistości zaś liczył na pół kubana t. j. na zamianę konia za konia, ale Ledóchowski odmówił na kilka razy ponawiane przedstawienia pośrednika.

Po kilkunastu latach, gdy były pomocnik żytomirskiego gubernatora wyrosł z małego „czortika“ na wielkiego „czorta“ i na jenerał-gubernatora kijowskiego, postanowił zemścić się na Ledóchowskim, — w sprawie odnoszącej się do uwłaszczenia włościan w jego dobrach kodniańskich, już raz załatwionej.

Tu przypomnę, że gdy w roku 1863 rząd narodowy postanowił uwłaszczenie włościan, to wahający się dotąd Aleksander II kazał przyspieszyć zniesienie pańszczyzny w całym państwie; w Polsce zaś i w byłych województwach polskich, ażeby pozyskać włościan i odwieść ich od udziału w powstaniu, wydał za poradą Mikołaja Miljutina i księcia Czerkawskiego osobne, od ogólnopństwowych odmienne rozporządzenie pod względem postępowania przy uwłaszczaniu włościan. Nakazano bowiem, że byłym poddanym należy oddać do wykupu tak ziemię, jaką w czasie zniesienia pańszczyzny posiadali, jako też i tę ziemię, której przedtem używali. Ztąd to poszło, że w Królestwie i w byłych województwach polskich otrzymali włościanie nieraz w dwój- i trójnasób większe działki w sto-

²⁸⁾ Ze słynnej stadniny kłusaków (rysaków) księcia Orłowa w Chrenowej woroneskiej gubernji.

²⁹⁾ Linijka, 4 kołowy wózek wyścigowy.

sunku do całości obszarów, niżli włościanie w cesarstwie.

Ta dwuznaczna ustawa, której celem było ułatwić stłumienie powstania, stała się dla czynownictwa kilkoletniem źródłem dochodów, przez dowolne tłumaczenie tej ustawy przy działach ziemi wątpliwej, iakie według własnego zarobku czynownicy przyznawali bądź to dworom, bądź gminom, lub pojedynczym włościanom.

Jenerał Korzeniowski, jeden z poprzednich właścicieli Kodni, pomieniał się był przed laty ze swoimi poddanymi na ziemię w ten sposób, że dał im odpowiednią ilość ziemi z łąnów dworskich przylegających do pól włościańskich, natomiast włościanie odstąpili mu swoją ziemię, przylegającą do dworskiej w innych miejscach. Taki stan trwał aż do zniesienia pańszczyzny; według tego przeprowadzono uwłaszczenie i odpowiednie mapy sporządzono.

W kilka lat po dokonanym rozdziale obszarów ziemi podnieśli włościanie roszczenia o oddanie im gruntów posiadanych niegdyś przez ich ojców, lecz odmawiali zwrotu tych, jakie w zamian za nie ich ojcowie otrzymali, a w końcu podburzeni przez wysłużonych żołnierzy, siłą przywłaszczyli sobie te sporne obszary.

Apolon Ledóchowski wniósł podanie, poparte dotyczącymi mapami, do rządu gubernjalnego, prosząc o zbadanie sprawy i o nakazanie oddania nieprawnie zabranej mu ziemi. Sprawa ta oparła się aż o kijowskiego jen.-gubernatora Czortkowa. Czyhający od dawna na Ledóchowskiego Czortkow skorzystał ze sposobności i pomścił się za dawną odmowę zamiany „klusaka“ w następujący sposób: Kazał w żytomierskiej „Czertiożni“ (zarządzie pomiarów i rysownictwa map) odszukać najdawniejszych map dóbr kod-

niańskich i na ich podstawie wytoczyć Ledóchowskiemu dochodzenie karne o podrobienie wspólnie z mierniczym (wtenczas już nieżyjącym) map obecnie do sprawy przedłożonych oraz polecił tę sprawę odstąpić izbie karnej.

To działo się już po usamoistnieniu sądownictwa w Rosyi i oddzieleniu go od władz zarządzających. — Czortkow, ażeby wpłynąć na uprzedzenie sędziów, opisał tę sprawę naciągniętym sposobem w polakożerczych pismach petersburskich i moskiewskich. Te podniosły wrzask zgrozy, rozpisując się, że winowajcę należy dla przykładu „po sprawiedliwości“ (?) ukarać pozabawieniem praw stanu i zsyłką w Sybir.

Opowiadano wówczas, że Czortkow miał się wyrazić do referendarza tej sprawy, że, jeżeli izba karna uzna Ledóchowskiego winnym i zasądzi go tylko na wysyłkę w północne gubernje, to należy pamiętać, ażeby go aż do miejsca zsyłki wysłać „etapnym porządkiem“³⁰⁾, by tym sposobem uniemożliwić mu najniezawodniejszą ucieczkę. Na to miał się referendarz nieśmiało odezwać, czy nie byłoby korzystniej, by skazany jako właściciel książęcego majątku³¹⁾, przeto pewny, że nie ucieknie, tę zsyłkę bez narażenia skarbu państwa na wydatki, odbył za swoje pieniądze. Na to Czortkow krótko mu odpowiedział: „Patruditieś małczat“ (chciejcie zamilczeć).

³⁰⁾ Etapowa zsyłka jest zbiorowa, wspólna ze zbrodniarzami, wlokąc się od jednego więzienia etapowego do drugiego, w których zesłańcy po kilka i kilkanaście dni wyczekują na dalsze wysyłki.

³¹⁾ Nazwał zapewne dla tego książęcym majątkiem, iż w. książę Mikołaj Mikołajewicz starszy, ujrawszy wspinały dwór kodniański i stuletni las parkowy, wyrzekł: „Gdyby mi wypadło mieszkać na Wołyniu, to obrałbym Kodnię.“

Że coś podobnego między referendarzem a Czortkowem zająć mogło, dowodzi ta okoliczność, że „ktoś“ (może obrażony referendarz) doniósł z Kijowa bezimiennie Ledóchowskiemu o zamiarach Czortkowa, doradzając, by natychmiast postarał się o paszport i wyjechał za granicę. List ten zakończony był słowami: „człob Czort ostałsia w durakach.“

Ledóchowski przestrogi usłuchał; gubernator żytomirski Podgoryczanin-Pietrowicz czy Gresser, nie wiedząc jeszcze nic o zamysłach Czortkowa, udzielił mu zagranicznego paszportu, z którym on prawnie wyjechał za granicę i przez lat kilka przemieszczał w Galicji, w Rumunji, we Włoszech i we Francji.

W kilka tygodni po wyjeździe Ledóchowskiego zapadł wyrok, żeby sporną ziemię zostawiono właścicielom aż do ostatecznego sądownego załatwienia, a Ledóchowskiego za przedstawienie władzom niewiarogodnych map zesłano do Pietrozawodzka nad jeziorem Onegą ołonieckiej gubernji.

Wyrok ten dotknął boleśnie żonę i córkę, a na syna Antoniego, młodziana dwudziestokilkolletniego, tak silne wywarł wrażenie, że popadł w obłąd prześladowczy. Porzucał Kodnię, udając się to do matczynego majątku Bazalji, to do krewnych, lub powracał do Kodni. Obłąd wzmacniał się — w końcu wywiozła go matka do zakładu leczniczego w Doeblingu pod Wiedniem. Tu wymknął się przy wstępie i tak umykał, że go zaledwie zdołano ująć i umieścić w zakładzie.

Po kilku miesiącach niby wyleczony, wrócił do Kodni, gdzie dotąd stale przebywa, niczem się poważnie nie zajmuje, czas spędza na czytaniu i wygrywaniu różnych dumek na fortepianie i zostaje wciąż pod opieką rodziny.

Gdy pobyt Apolona Ledóchowskiego za granicą dobiegał ostatniego ustawą dopuszczalnego kresu, po przekroczeniu którego mógłby go rząd rosyjski ogłosić samowolnym wychodzącą i pozbawić ziemskiego majątku, opuścił Francję i przez Finlandję dojechał do Pietrozawodzka, tam stawiał się przed gubernatorem, oświadczając, że dowiedział się za granicą, iż rząd naznaczył mu Pietrozawodzk na wygnanie, więc przybył zadość uczynić temu.

Gubernator, zacny Rosjanin, nie perekińczyk, ani wysłużony łapacz policyjny, jakich często-kroć posyłano na lepsze posady do Polski, znał sprawę Ledóchowskiego z przysłanych mu o nim papierów i, jak się okazało, był innego o niej przekonania. Przyjął „zesłańca“ nader uprzejmie, wyraził mu swoje ubolewanie i zostawił do wyboru, w tej niegościnnej gubernji się osiedlić, gdzie mu będzie najwygodniej.

Ledóchowski został w Pietrozawodzk, lecz klimat tego kraju okazał się dla niego zabójczym. Po kilku miesiącach podał na ręce gubernatora prośbę do ministra spraw wewnętrznych o naznaczenie mu, z powodu niesłużącego jego zdrowiu klimatu, innej miejscowości w południowej Rosji. Gubernator przedstawiając tę prośbę ministrowi, odważył się w swem sprawozdaniu dać do zrozumienia podwójną krzywdę, wyrządzoną proszącemu, tj. odebranie mu ziemi i wygnanie za wątpliwe podrobienie map — przez nieżyjącego od lat kilku mierniczego.

Po kilku miesiącach nadeszła krótka odpowiedź ministra, że Apolonowi Ledóchowskiemu pozwała się zamieszkać w gubernji jego zdrowiu najodpowiedniejszej.

Wyjechał tedy do Warszawy leczyć się i tam wkrótce umarł, a byłby niezawodnie przeżył

jeszcze dłuższe lata i syn Antoni nie nabawiłby się obłędu prześladowczego — gdyby przed laty, szybkonomi kłusak nie spodobał się był Czortkowowi.

XIII.

Wyprawa pułkownika Horodyńskiego na Radziwiłłów 1 lipca 1863 roku.

Nakoniec wspomnę i o mych osobistych galicyjsko-wołyńskich przygodach z r. 1863.

Po wiadomym napadzie nocnym z 14 na 15 stycznia 1863 r., dokonany na lud w Warszawie przez władze rosyjskie w celu poboru do wojska, młodzież, która tej strasznej nocy ocalała i schroniła się w lasy, dała początek powstaniu. Już 23 stycznia zawiązany rząd narodowy w Warszawie wydał odezwę, wzywającą naród do obrony praw swoich.

We Lwowie dowiedziano się o tem nazajutrz, a w 8—10 dni potem właściciel Kaczanówki, Jan Czarnecki³²⁾ zebrawszy około 50 ludzi w lichą broń opatrzonych, wyruszył ze Lwowa ku granicy³³⁾. Po drodze przybyło mu prawie drugie tyle powstańców w kosy i siekiery uzbrojonych. Z nimi przekroczył on granicę w pobliżu Tomaszowa, z kąd wysłał ochotnika na zwiady. Ten wrócił z wiadomością, że Moskale nie ma w mieście, ale że jest tam Valois-Piase-

³²⁾ Inny Jan Czarnecki — ze Stanisławowa, porucznik wojsk austriackich, wystąpiwszy z pułku, przeszedł do powstania i do upadku tegoż był kapitanem w różnych oddziałach.

³³⁾ Do jego oddziału wybrało się nas kilku ze Stanisławowa, — kołując bocznymi drogami, by nie spotkać się z żandarmami, spóźniliśmy się.

cki³⁴⁾, mianowany przez rząd narodowy na naczelnika w Lubelskiem, który ze swymi kilkudziesięciu powstańcami oczekuje nadesłania przyobiecanej broni i zgadza się na połączenie z przybyłym oddziałem.

Czarnecki żądał dowództwa dla siebie i po dwudniowych targach o nie, nie połączył się z Piaseckim, który też po nadciągnięciu kilkudziesięciu objezdczyków uszedł z bezbronnym oddziałem; objezdczyci złupili Tomaszów i podpalili. — Czarnecki zas, dowiedziawszy się o zbliżającej się większej sile moskiewskiej, powrócił do Lwowa i oddział rozpuścił.

Wkrótce potem lwowski Wydział powstania, upoważniony przez warszawski rząd narodowy, zaczął zbierać drugi oddział, przeznaczony w Lubelskie. Powstańców różnemi drogami wysyłało w okolice Cywkowa, a gdy broni, naboju itp. przyborów bojowych dostarczono w potrzebnej ilości, zamianowano Czechowskiego dowódcą tego oddziału, składającego się z przeszło 400 ludzi dobrze uzbrojonych.

W połowie marca Czechowski przekroczył granicę, lecz niebawem przeważającymi siłami nieprzyjacielskimi został rozbity.

Jeszcze przed wyjściem Czechowskiego z Cywkowa, dążyło nas trzydziestu kilku do jego oddziału, jednak następujące zdarzenie uniemożliwiło nam wszystkim połączenie się z oddziałem, a mnie samemu i branie udziału w późniejszych wyprawach, aż do 28 czerwca 1863 roku.

Było to na przewozie promem przez rzekę Bug pod Sielcem, gdzie żandarmi austriaccy nas przytrzymali i odstawili do ówczesnego urzędu

³⁴⁾ Przybierano zmyślone nazwiska, by nie narażać rodziny itd.

powiatowego w Kamionce Strumiłowej. Ztąd zaś mimo to, iż broni ani nic podejrzanego nie mieliśmy, odesłano nas do Lwowa i osadzono w więzieniu śledczym u „Bosych Karmelitów“.

Z pomiędzy nas wszystkich tylko ja miałem paszport, zwany wówczas „gubernjalnym“, wydawany tylko przez namiestnictwo, a służący i do podróży za granicę, opatrzone wizą brodzkiego konsula rosyjskiego. Byłem więc pewnym, że po przybyciu do Lwowa wnet zostanę uwolniony. Stało się przeciwnie. Władze, oddając wszystkich pod dozór policyjny, uwolniły drugiego i trzeciego dnia Lwowian, a zamieszcowych poodsyłały do ich miejsc przynależności. Zatrzymano tylko mnie jednego właśnie z powodu mojego paszportu, który odesłano do starostwa stanisławowskiego, a to celem jakiegoś sprawdzenia, na co kilka tygodni oczekiwałem w więzieniu.

Ta zwłoka była prawdopodobnie odpłaceniem mi ze strony starosty Ostermanna za mój udział w narodowych śpiewach kościelnych, jak „Boże coś Polskę“ i innych, jakich wówczas starosta stanisławowski, ku wielkiemu utrapieniu śpiewających, jak i władzy sądowej, bez skutku zakazywał. Sąd bowiem dla braku dowodów najczęściej uwalniał oskarżanych przez starostę.

U „Bosych Karmelitów“ pomieszczono mnie w kaźni, zajętej przez autora „Szkieletów Holbeina“ I. R. Niedźwiedzkiego. Był on wtenczas złamany nie tylko więzieniem, ale i wiadomościami ze Złoczowa o chorobie a w końcu i o śmierci dziecka. Mimo to wyplakawszy się po każdym liście, wdrapywał się, lubo nieco chromiał na jedną nogę, do zakratowanego pod sklepianiem półokna, — nie zważając na groźby i nawoływania żołnierza i straży, wyprawiał różne

figle z sąsiadami jego okna, jako też z innymi więźniami stanu³⁵⁾, przechadzającymi się (kolejno) w podwórku więziennem. Zmęczony się złożył, rozmawiał ze mną o sprawie polskiej, o powstaniu i t. p. — Pisywał także zabawne fraszki do więziennego pisemka „Szłapaka“, wydawanego przez Włodzimierza Zagórskiego (Chochlika). Treść tego pisemka była zawsze do bieżących okoliczności zastosowaną, a od czasu do czasu podawało ono zabawne i uszczypliwe wiadomości o prezydencie sądu karnego br. Polbergu, radcy Kuczyńskim³⁶⁾ i o wielu innych; dostawało się też i dokuczliwemu starszemu klucznikowi Zabratyńskiemu, przezywanemu w „Szłapaku“ „Psubratyńskim“. Pojawiły się też w „Szłapaku“ dwie Ody arcyzabawne do niezbędnej w kaźni „maźnicy“, różnym c. k. dostojnikom ówczesnym poświęcane.

W połowie maja przeprowadzono mnie do kordygardy przy ulicy św. Stanisława, z kądem miałem być odstawiony „szupasem“ pod dozór policyjny do Stanisławowa. Za poręczeniem Ignacego Lewakowskiego i Leopolda Roland-Rotlendera, że w naznaczonym czasie stanę w Stanisławowie, udzielono mi trzydniowego „Zwangspassu“ z przepisaniem szlakiem podróży i poleceno mi natychmiast po przybyciu zgłosić się do naczelnika powiatu. — Naczelnik Meyer,

³⁵⁾ To więzienie było przepełnione więźniami stanu, oskarżonymi o branie czynnego udziału w powstaniu itp.

³⁶⁾ Kuczyńskiego zabito później. Po powstaniu twierdzili niektórzy z tych, których sędzią śledczym on był, że go niesprawiedliwie tak złym okrzyczano. Był dokuczliwym w sprawach mniejszego znaczenia, ale w ważniejszych, znając częstokroć nieurzędownie okoliczności obciążające przesłuchiwanego, nie robił z nich użytku — nawet nie pytał o nie.

odebrawszy „Zwangspass“, polecił mi przedstawiać się codziennie w biurze jednemu z urzędników, co najściślej wykonywałem, tak że te odwiedziny sprzykrzyły się więcej jemu — niżli mnie.

Niebawem zaczęto czynić przygotowania do nieszczęsnej wyprawy na Radziwiłłów, miewałem więc z tego powodu różne polecenia. Pewnego razu poruczono mi przewieść opieczetowane papiery, maści i nawiązki hr. Kazimierzowi Wodzickiemu do Olejowa, gdzie miałem pozostać aż do wyjścia tej wyprawy. Ponieważ rząd austriacki pozaprowadzał strażę włościańskie po wszystkich drogach wiejskich, przeto odbywanie podróży bez paszportów lub „kart legitymacyjnych“ było wielce utrudnione. — Osobom nie podejrzanym dawano łatwo takie karty. Były one podobne do dzisiejszych kart pocztowych, takieże grubości na różowym papierze.

Ja miałem dwie takie karty, ale podrobione. Były one opatrzone dwugłowymi orłami i innemi odznakami rządowemi, które wycinano z różowych cienkich opasek tytoniu „Seraglio“ i naklejano na odpowiedniej grubości papierze. Takie karty uważały strażę wiejskie długi czas za prawdziwe. Z powodu jednak, że tym razem wypadła mi dalsza podróż, to dla większej pewności pożyczylem sobie prawdziwej karty legitymacyjnej od Michała Nowickiego, malarza w Stanisławowie.

Otrzymawszy przekaz na podwodę „pocztą obywatelskiej“, wyruszyłem tejże nocy z soboty na niedzielę. Noc była prześliczna i ciepła, księżyc świecił dość jasno, podwoda była wygodna, wyciągnąłem się, podłożyłem pod głowę szórzaną poduszeczkę i drzemałem. Po niejakiem czasie usłyszałem: „stój!“ Ujrzałem dwóch żan-

darmów — udałem, że śpię. Budzą mnie, pytając, kto jestem, zkąd i dokąd jadę i czy mam paszport lub kartę legitymacyjną.

— Jestem Michał Nowicki, malarz pokojowy ze Stanisławowa, jadę do moich ludzi, którzy są w Sosnowie na robocie, — co było po-niekąd prawdą, gdyż Nowicki miał rzeczywiście tam swych robotników i o tem mi wspomniał przed odjazdem. Wydobyłem tedy kartę legitymacyjną Nowickiego i podałem jednemu z żandarmów. On ją obejrzał i chciał mi już zwrócić, lecz powstrzymał go drugi żandarm; nie mogąc przy świetle księżyca odczytać wieku w karcie napisanego, poradził towarzyszowi swemu podjechać do wsi Bybła i tam przy świetle dokładnie wiek mój sprawdzić. Po przybyciu do Bybła, zażądali żandarmi od karczmarza osobnego pokoiku. On otworzył nam swój składzik, w którym znajdował się zapas soli, stągwie do zsy-powania zboża i inne rupiecie. Tu żandarmi utwierdzili się w przekonaniu, że podany na karcie wiek 34 lat nie odpowiadał mojej osobie — liczącej wtedy 23 lata.

Postanowili tedy zatrzymać mnie i o świcie odesłać do starostwa w Podhajcach. Ja stanowczo sprzeciwiałem się temu na podstawie posiadanej karty legitymacyjnej; żandarmi obstawali przy swojej wątpliwości, dowodząc, że ostateczne rozstrzygnięcie sprawy nie ich było rzeczą, lecz starostwa. Chcąc uprzedzić ich możliwe dalsze żądania i licząc na ich wyrozumienie, niby naj-obojętniej otworzyłem torbę, by się przekonali, że nic podejznanego nie wiozę, lecz oni, chociaż pobieżnie, jednak jak dla nich, dostatecznie do wnętrza zajrzeli, a w końcu zabrali się do spisanania sprawozdania, zaczynając od woźnicy. Ten jednak nie czekając, drapnął, skoro tylko

rzeczy z podwody zabrano. Na to jeden z żandarmów wybiegł odszukać zbiega, drugi stanął w progu, a ja rozglądając się po składziku, prze-myśliwałem, jakimby sposobem wymknąć się im, lub choć pozbyć się z torby papierów, maści i nawiązek.

Po kilkunastu minutach powrócił zadyszany żandarm z niczem, oświadczając towarzyszowi, że nie ma ani śladu po zbiegu, nie słychać turkotu wozu, z czego wnosił, iż zbieg najprawdopodobniej gdzieś się przyczaił.

Radzi nie radzi, żandarmi coś tam sami spisali, gdyż ja — rzekomy Michał Nowicki, obywatel m. Stanisławowa — obrażony tem ich niedowierzaniem, pomimo gotowości, z jaką im kartę legitymacyjną powierzyłem i dobrowolnie torbę otworzyłem, nie chciałem w żadne dalsze z nimi wdawać się rozprawy, prócz życzenia, by mię jak najprędzej do starostwa odstawiono.

Żandarmi posłali po wójta a po jego przybyciu wręczyli mu zapieczętowane pismo do starostwa, tudzież moją torbę, którą zamknęli, poróżkiem obwiązali i zapieczętowali, a kluczyk od niej i kartę legitymacyjną do rąk mi oddali, poleciwszy wójtowi, by mnie nazajutrz najpóźniej do godziny 10 przed południem do starostwa w Podhajcach dostawił — spiesźnie odeszli. — Wójt postawił na straży dwóch włościan przy drzwiach, a dwóch zewnątrz przy oknie, mimo, iż ono było opatrzone jakimś rodzajem kraty.

Zgasilem świecę, położyłem się w ubraniu na ławie niby w zamiarze przespania się, a w rzeczy samej w zamiarze ucieczki. Przekonałem się jednak, że to wobec czujności pilnujących mię włościan było niemożliwem.

Przed wschodem słońca przysłał wójt podwodę ze wsi i niebawem wyruszyliśmy ku Pod-

hajcom. Podczas jazdy zapraszałem przewodników kilka razy, by co zjedli i wypili, lecz zawsze odmawiali. Nareszcie przyjechaliśmy do Podhajec. Ponieważ była zbyt wczesna godzina, aby udać się do starostwa, zajechali włościanie do najbliższego w śródmieściu domu zajezdnego, należącego — jak się potem dowiedziałem, — do kupcowej Gelberowej. Ta w pierwszej chwili odgadła moje położenie, podstawiała jakąś kobietę, by włościan pytaniami zagadywała, i niepostrzeżenie mi szepnęła:

— Czy dać znać panu Bobowskiemu?

— Nie byłem tu nigdy, nie wiem, kto on jest.

— Kto? pełnomocnik tutejszych dóbr księżnej Czartoryskiej, do niego udają się wszyscy panowie z powstania; on mieszka obok młynów za miastem.

Zrozumiałem i zwierzyłem się Gelberowej po niemiecku, że przede wszystkim chciałbym ztąd uciec. Na to ona wyszła, a po chwili powróciła z książką meldunkową i powiedziała głośno:

— Takie teraz nastały czasy, że gdy kto zajedzie, chociażby tylko na godzinę, to należy zapisać się do książki meldunkowej.

To powiedziawszy, otworzyła osobny pokoik i poprosiła, bym się własnoręcznie zapisał, więc zapisałem się jako Michał Nowicki. Przytem porozumiałem się z Gelberową co do ucieczki, do której wykonania było mi potrzebne całe nowe lekkie ubranie, koszula, lekka czapka i trzewiki. W niespełna pół godziny wszystko mi nieznacznie pozносиła — za tanią nawet cenę. Przebrałem się w lekkie ubranie, czapkę i trzewiki pochowałem w kieszenie, a na wierzch tego ubrania przywdziałem drugą bieliznę. Tak niby w koszuli ubrany wyszedłem w szkarpet-

kach do sieni i kazałem jednemu z pilnujących mię włościan, poprosić gospodynię, by kazała mi wyczyścić buty i ubranie. Wnet pojawiła się Gelberowa ze stróżem, dała mu ubranie, a wzięwszy buty pokazała je włościanom, podziwiając grubość podeszew. Przyniosła potem poduszkę i stosownie do poprzedniego porozumienia się poodsuwała zasuwki w oknie, spuściła zasłonę, powróciła, mrugnęła na znak, że wszystko gotowe i przyłączyła się do mej rozmowy, prowadzonej z włościanami. W końcu powiedziałem do nich, że ponieważ zawcześnię przyjechalśmy, przeto położę się jeszcze trochę, lecz kazałem przed godziną 10 się obudzić. Powróciłem do pokoiku — ażeby przy dobrej sposobności wyjść przez okno. Lecz włościanie, mimo różnych pomysłów Gelberowej, tak od drzwi jak i okna nie odstępowali. Tak wyczekiwałem przy oknie z godzinę.

W tem nadeszło kilku huzarów, a prowadzący ich wachmistrz besztął ich po węgiersku: „bassama a tatar teremtete itd.“ Pilnujący przy oknie włościanie usunawszy się im, zagapili się, z czego korzystając, przekroczyłem okno, przymknąłem je lekko, wbiegłem, stosownie do pouczenia Gelberowej, do bramy sąsiedniego domu przechodniego, z tego w poprzeczną ulicę, a z tej na drogę. I tak w białiznie tylko, bez czapki i obuwia, wpadłem do apteki, w której zastałem sędziwego mężczyznę. Miał to być jej właściciel Heyder. — Do osłupiałego rzekłem: „W sprawie narodowej ucieczka.“ Zrzuciłem ze siebie wierzchnią białiznę, dobyłem z kieszeni czapkę, wzięłem trzewiki i w lekkim ubraniu, już nie biegiem, lecz rażnym krokiem podążyłem ku młynom do mieszkania Bobowskiego.

Zastałem go w domu i nie potrzebowałem opowiadać mu, o co chodzi, gdyż Gelberowa za-

raz po przybyciu mojem o wszystkim już go uwiadomiła. On natychmiast udał się do miasta i z przeciwnej strony rynku śledził, co się w zajeździe Gelberowej stanie. Po mojem wyjściu przez okno pojechał do domu, by mógł czempredziej wyprowadzić mię do wsi „Kalne“, już w innym powiecie położonej. A ponieważ właściwa droga do Kalnego prowadziła przez Podhajce, zapytał mię, czy nie wiem o zawrocie głowy, bym mógł przejść po dźwigarach odkrytej służby będącej w naprawie. W ten bowiem sposób skróciłbym sobie dwie trzecie drogi, a idąc łąkami, nie spotkałbym ani żandarmów, ani straży wiejskiej. Podjąłem się przejścia przez odkrytą służbę. Bobowski oznajmił mi hasło do właściciela Kalnego, — p Tyszkowskiego, i z pominięciem straży wiejskiej w Kalnem, doszedłem od strony sadu do dworu.

Po oddaniu hasła Tyszkowskiemu, pierwszą czynnością było wysłanie posłańca na pocztę z listem i ową kartą legitymacyjną do Michała Nowickiego w Stanisławowie, a drugiego do p. Srokowskiego w Bybłę z uwiadomieniem o wszystkim, co zaszło w karczmie minionej nocy. Ku wieczorowi przyjechał do Kalnego Bobowski i opowiedział, co widział i słyszał w starostwie w Podhajcach i czego dowiedział się od Gelberowej. — Ona z progu swojego sklepu patrzyła z ukosa w stronę okna, a doczekawszy się ucieczki rzekomego Nowickiego, weszła na palcach do pokoiku pod pozorem zabrania naczyń od kawy, pozasuwała w oknie zasuwki i wyszła, a jako uprzejma gospodyni, wyniosła kilim, rozścieliła go przed drzwiami opróżnionego pokoiku, zapraszając straż, by także spoczęli, póki gość śpi. Kazała także stróżowi wynieść ławkę, ustawić ją pod oknem dla dwóch

drugich pilnujących i poleciła mu, ażeby po oczyszczeniu wszystkich rzeczy oddał je opiece włościan, a gościa nie budził.

Około godziny 10 zaczęli się włościanie niecierpliwić, chrząkać, wołać, do drzwi i okna pukać, w końcu weszli do pokoiku, by zbudzić śpiącego, — a tu go nie ma.

„Jooooj! ta nyma! Szczeznuw nesamowytj, traścia jeha aspida irodowoj porody. Ot pohanyj czariwnyk ta charakternyk! Ahij, pek jemu satanie!“ (Oj nie ma! znikł „niesamowity“, roztrzęsłoby go zmię herodowego plemienia. A to pogański czarownik i czarnoksiężnik! A niech go szatani!)

Powstał rwetes, zbiegli się domownicy, — stróż wiedział tylko, że gość ułożywszy się do snu, więcej z pokoju nie wychodził. Gelberowa to samo potwierdzała, przychylając się do podejrzeń włościan, że to był czarnoksiężnik i niby drżąc ze strachu, poradziła im zaglądnąć do pieca i komina, czy nie schował się, a jeżeli się wymknął, to należytość za kawę i za pokój chyba przepadnie.

Gdy poszukiwania na wszystkie strony nie odniosły skutku, zabrali włościanie rzeczy w obecności Gelberowej do worka i udali się do starostwa. Bobowski zmyśliwszy sobie jakieś sprawy, znajdował się tam i był świadkiem stawienia się wysłanników żandarmskich przed oblicze starosty. Ten po przeczytaniu podanego mu pisma od żandarmów zapytał:

— A gdzie macie Nowickiego? — Szczeznuw nesamowytj, — i zaczęli się usprawiedliwiać, odwołując się na Gelberową i jej domowników, że ani na krok nie oddalili się itd. — Starosta nie posiadał się z gniewu i zawołał:

— A cóż się stało z jego opieczętowanym pakietem i innemi rzeczami?

— Wsi riczy sut i zapeczatana torba zi wsim je.

(Wszystkie rzeczy są i zapieczętowana torba ze wszystkim jest.)

To powiedziawszy wydobyli z worka bluzkę, burkę powstańczą, czapkę, buty z cholewami, sztyletowy nóż składany³⁷⁾ i opieczętowaną torbę. — Starosta gorączkowo pochwycił torbę, przeciął powrózki — zamknięta, rozbili zamek i wydobyli trochę bielizny, poduszczkę skórzaną i... nic więcej!

Starosta osłupiał. Torba była zamknięta, cała, powrózki i pieczętki nienaruszone, a zamiast opieczętowanego pakietu i innych rzeczy, o których żandarmi w swem piśmie donieśli, znaleziono co innego.

Włościanie spostrzegłszy to zdumienie starosty, odezwali się dobrodusznie:

— A szczo, ne charakternyk? Sam z pakietem i z druhymi riczamy szczeznuw, a szmati i poduszkę zistawyw, — neczystyj, taj hodje jaśnie pane starosto.

(A co, nie czarnoksiężnik? Sam z pakietem i innemi rzeczami znikł, a bieliznę i poduszkę zostawił, — nieczysty — i tyle jaśnie panie starosto.)

Wezwani na świadków: Gelberowa,³⁸⁾ stróż

³⁷⁾ Opowiadał Bobowski, że dusił się, by nie parsknąć śmiechem, widząc, jak ten nóż otworzono, oglądano, nie umiano zamknąć — i pokaleczono się.

³⁸⁾ Po upływie 40 lat, dowiedziałem się od pana Adolfa Gelbera, wybitniejszego współpracownika pisma „Neues Wiener Tagblatt“, że jego stryjenkę mieli w podejrzeniu o tę ucieczkę, — ale na tem się skończyło. — Dożyła ona bardzo podeszłego wieku i szczy-

i inni potwierdzili, że ów Nowicki zapisał się własnoręcznie w książce meldunkowej, wypił kawę, rozebrawszy się do koszuli, legł spać w pokoiku i że go więcej nie widziano, mimo to, że była wciąż straż przy drzwiach i przy oknie i ani na chwilę się nie oddalała.

Zamiany pakietu, maści i nawiązek, dokonałem tej samej nocy w karczmie byblańskiej. W chwili, gdy po odejściu jednego żandarma w pościgu za zbiegłym woźnicą, pozostały żandarm stał w progu, ja ów pakiet itd., włożyłem do jednej stągwi karczmarza, a na ich miejsce wsunąłem do torby poduszeczkę i nakryłem ją tą samą bielizną, jaką tamte rzeczy były przedtem owinięte. Żandarmi opieczętowując potem torbę nie zajrzeli do jej wnętrza.

Gdy po kilku miesiącach byłem w Stanisławowie, opowiedział mi Nowicki, że w kilka dni po moim wyjeździe otrzymał wezwanie, by się stawiał do starosty Ostermanna. Tam zastał i naczelnika powiatu Majera. — Starosta ostro zapytał go:

— Co się stało z pańską kartą legitymacyjną?

— Wybacz mi pan starosta, że może nie zrozumiałem pytania, — cóż by się z nią stać mogło?

ciła się tem, że jej syn (brat stryjeczny Adolfa) brał udział w powstaniu 1863 r.

W chwilach wesołego nastroju opowiadała o tem, jak nawet kilka lat po powstaniu powtarzano o tym wypadku, że jakiś Nowicki uciekł z jej domu w tajemniczy sposób, to jakby za żyda, to za dziewczynę przebrany, że koninem się wysunął itp.

Dopiero po wielu latach otwarcie przyznała, ciesząc się, że ucieczka powstańca także jej dziełem była. Umarła w Podhajcach we wrześniu 1903 r.

— Można ją wypożyczyć, zgubić, a nawet sprzedać komu.

— Prawda, że wszystko to można, ale w pierwszej chwili nie przyszło mi to na myśl.

— Więc cóż pan ze swoją zrobiłeś?

— Chodziłem i jeździłem z nią.

— A teraz masz ją pan?

— Mam.

— Przy sobie czy w domu?

— W tych czasach, panie starosto, czyż można w moim zawodzie nawet na chwilę być bez niej?

To powiedziawszy, podał staroście swoją kartę legitymacyjną, — którą krótko przedtem otrzymał z poczty w moim liście. Starosta spojrzał, ruszył ramionami, pokazał ją naczelnikowi powiatu, ten pokiwał głową, a starosta, oddając Nowickiemu kartę, rzekł tylko: „dziękuję“.

Rzeczy moje i torba pozostały w starostwie podhajeckim i dotąd nie wiem, co się z niemi stało. Papiery opieczętowane, maść i nawiązki zabrał ze stągwi w karczmie byblańskiej Srokowski i odesłał do Olejowa. Mnie wywiózł z Kalnego p. Emil Torosiewicz, właściciel Zastawnej, wzięwszy w tym celu z domu książeczkę służbową swojego kucharza, odpowiednią mojemu wiekowi — i bez przeszkód — dostałem się do Olejowa. Pomimo że w tej miejscowości mieli żandarmi swoją siedzibę, było tu dużo młodzieży powstańczej. Raz w lesie, to znowu na polach odbywały się ćwiczenia wojskowe bez przeszkód.

Ja mieszkalem z Franciszkiem Nartowskim z Narajowa u małżonków Wojnarowskich, z kąd 28 czerwca 1863 r. wyruszyliśmy ku wieczorowi do obozu we wsi Nakwaszy, gdzie zastałem

ziomków ze Stanisławowa: Piotra Bobrowskiego, Zenona Jastrzębskiego, Obertyńskiego i młodszego Strzetelskiego.

W Nakwaszy rozdano broń, naboje, kosy, ubrania ³⁹⁾ i t. p. i rozdzielono 400 szeregowców na kompanje. Kapitanem mojej kompanji był Menkes, przedtem porucznik austriacki, kapitanem kosynierów był Wurst ⁴⁰⁾, innych nie pamiętam.

Przed południem 29 czerwca wyruszyliśmy ku granicy rosyjskiej. Wtedy opuściło obóz kilka osób umyślnie ze Lwowa przybyłych, między innymi Stefan Oczosalski, ks. Adam Sapieha i hr. Kazimierz Wodzicki.

Jako szeregowiec nie byłem wtajemniczony w bliższe szczegóły tej wyprawy, wiedziałem tylko, że idziemy pod wodzą pułkownika Horodyńskiego i że w Radziwiłowie mamy rano 1 lipca połączyć się z oddziałami generała Wysockiego i pułkownika Miniewskiego.

Od wyjścia z Nakwaszy, — prócz małych przestanków, byliśmy wśród największego upału dwa dni i dwie noce w pochodzie.

Ostatniej nocy z 30 czerwca na 1 lipca oddzielono 50 z naszej kompanji, do których i ja należałem, na rekognoskowanie międzynarodowej drogi granicznej, przeprowadzonej grzbietem pagórka. Noc była tak ciemna, że jeden drugiego nie widział, chyba w chwilach oślepiających błyskawic. Ulewa kilkogodzinna była taka, jakiej nie pamiętam, a ryk burzy zagłuszałby na pewno wystrzały. Przemoknięci do nitki, wlekliśmy się po tej drodze to naprzód, to napowrót i prze-

³⁹⁾ Niektórzy z piechoty i trzydziestupięciu z konnicy mieli wszystko własne.

⁴⁰⁾ Brat lwowskiego adwokata Roińskiego.

konaliśmy się, że graniczne budy objezdczyków i koszary ich były opróżnione — granica nie strzeżona.

Nadędnem ustała ulewa, zeszedliśmy z granicznej drogi na nizinę przed Radziwiłowem. Znużenie spowodowane tym uciążliwym pochodem i bezsennością było tak wielkie, że idąc drzemaliśmy, broń wypadła nam z rąk, niektórzy padali senni i nie było można ich się dobudzić. Droga zwykła nie żwirowana, była tak rozmoknięta, że grzęzło się w błocie omal nie po kolana i zaledwie z natężeniem ostatnich sił postępowano naprzód.

Miedzy godziną 7 a 8 rano 1 lipca zbliżyliśmy się do radziwiłowskiego przedmieścia Lewiatyna i spotkaliśmy pierwszego mieszkańca, a ten na zapytanie pułkownika Horodyńskiego, ilu jest Moskali w mieście, odpowiedział, że ich było 250, ale że się wybrali o świcie spiesźnie do Dubna.

Weszliśmy tedy najspokojniej do miasta, Horodyński ze starszą konno na przedzie. Minawszy kilkanaście domów, ujraliśmy po lewej stronie ulicy ogromny stos próżnych żołnierskich tornistrów, lecz ani jednej osoby na ulicy, ani jednej twarzy w oknach domów, mimo, że coraz więcej zbliżaliśmy się do środka miasta.

Nie rozumiem, dla czego od razu nie spotrzegliśmy zwartej ściany Moskali, stojących naprzeciw nas w szyku bojowym o parę set kroków. Ci przywitali nas gradem kul; — salwa ta była zarazem hasłem dla Moskali, pokrywanych wewnątrz domów po obu stronach ulicy. Poczęto nas razić ogniem ze wszystkich stron!

To niespodzianie groźne położenie orzeźwiło nas chwilowo, ale nie pomogło wiele, gdyż ze

strony naszej odpowiadano słabo, ponieważ broń u większości nie wypalała, a naboje w kieszeniach były zamoczone. — Zaraz po pierwszych strzałach Horodyński zwałił się z konia, śmiertelnie raniony, najstarszy po nim, pułkownik Sienkiewicz zniknął bez śladu, nastąpiło zamieszanie i bezładne cofanie się, — lecz nie ucieczka, bo do tej siły nam nie starczyło.

Słowem — co Moskale nie wystrzelali, to zabrali do niewoli, a tylko cząstka ocalała. — Co do konnicy, to zdaje mi się, że ona zaraz po pierwszych strzałach z okien cofnęła się w poprzeczną uliczkę i zdołała ująć za granicę.

Niestety i ja dostałem się do niewoli. — Gdy nas gromadkę jeńców prowadzono około południa i zbliżyliśmy się ku moczaron leżącym po prawej stronie drogi, a więc po stronie granicy, puściłem się ku niej co mi tchu stało. Straż nie rzuciła się za mną, lecz strzeliła. Po drugim strzale padłem umyślnie w trzęsawicę, zatrząpiałem kilka razy nogami i nie ruszyłem się więcej. Strzelono jeszcze kilka razy, lecz kule tylko pluskały po wodzie nie raniąc mnie wcale.

Gdy się zupełnie uciszyło, obejrzałem się ostrożnie, a widząc, że nie było nikogo ni bliżej ni dalej, poszedłem chyłkiem aż do gęstego oczeretu, a ztąd do otwartego stawu głębokiego po ramiona. Nie będąc pewnym, czy dalej nie jest głębszym i chcąc nabrać siły, by go przejść lub przepłynąć, ponaginałem oczeret i na nim jakby na moście — mając pod sobą wodę, przeleżałem ze dwie godziny.

Potem, to idąc wolno krok za krokiem, to płynąc dostałem się do drugiego brzegu stawu, a ztąd do wyrąbanego lasu, oddalonego o 3—4

kilometrów od drogi, z której umknąłem; — było już około godziny 5 wieczorem.

W lesie zatrzymałem się znowu z godzinę, by się jako tako osuszyć, wodę z butów wylać i z błota się obmyć. Przytem rozpatrywałem się na wszystkie strony i mogłem dobrze rozpoznać graniczne budy objezdczyków, oddalone o 2 do 3 kilometrów. Nie widziałem jednak przez ten czas konnych objezdczyków, którzy zwykle graniczną drogę objezdżają w pojedynkę.

Nim jednak zapuściłem się do lasu, rozerwałem jeden z dwóch szkaplerzy, które mi dała matka i w których zaszyła po dwa półimperyały na czarną godzinę. Wyjąłem jednego i trzymając go wciąż w ręce, szedłem lasem wprost ku budzie objezdczyka, licząc na to, iż, gdy obaczy, że nie uciekam, tylko śmiało do budy kroczę, to nie strzeli i że, jak mu pokażę półimperyała, to go weźmie i cicho przepuści. Ale jakie było moje zdziwienie, gdy ani w budzie ani na drodze granicznej nie było nikogo.

Przekroczyłem tedy swobodnie granicę i poszedłem do studni o kilka set kroków oddalonej, u której gospodarz poił bydło.

Na pozdrowienie go moje słowy: „sława Isusu Chrystu“ odpowiedział mi: „na wiki Bohu sława“ i ostrzegł, bym się nie puszczał sam do wsi, bo mogę spotkać żołnierzy (austriackich), a ci by mnie przytrzymali.

Chcąc nie chcąc zaufałem mu, poszedłem razem do jego chałupy i przy ogniu osuszyłem ubranie zupełnie. Następnie powiedział mi ów gospodarz, że mnie zawiezie do gorzelni w Gajach D itkowieckich, położonej na uboczu i niedaleko od Brodów, za cenę bardzo umiarkowaną. Zgodziłem się, a gdy się ściemniło, pożyczył mi świtki i odwiózł do gorzelni.

Tu zastałem kilku powstańców, od których dowiedziałem się, że było ich w gorzelni więcej. Zawiadowca gorzelni ofiarował mi coś do zjedzenia, poprosiłem tylko o szklankę mleka i o kącik do przespania się, jako też o kupno lekkiego okrycia. Wypiwszy mleko, przespałem się kilkanaście godzin snem gorączkowym, obudziłem się niezdrow i uczułem klucie w boku, tak że ledwie chodzić mogłem. Potem się przebrałem, a zawiadowca powiedział mi, do kogo mogę z zaufaniem udać się w Brodach. Tam się też wolnym krokiem dowleklem i przeleżałem jeszcze tydzień, póki mi było o tyle lepiej, że mogłem odjechać na dalsze leczenie się do Stanisławowa.

Oddział generała Wysockiego, mający dwa razy więcej ludzi, nie doznał takiego pogromu, chociaż przybył w 3 godziny po rozbiciu Hordyńskiego.

Jak się tam sprawił, nie będąc naocznym świadkiem, szczegółowo nic pewnego powiedzieć nżę mogę, jak tylko to, że Radziwiłłowa nie zdobył — i po kilku godzinach — cofnął się z oddziałem do Galicyi!

Oddział pułkownika Miniewskiego, z powodu niewiadomych mi przeszkód, wcale granicy nie przekroczył.

Tak zakończyła się ta długo przygotowana wyprawa na Radziwiłłów, w której wielkie nadzieje pokładano, gdyż była stosunkowo do innych najlepiej we wszystko zaopatrzona. Szczególnie oddział generała Wysockiego był świetnie uzbrojony. Sam generał przybył kilka tygodni przedtem do Lwowa z Francji z liczną starszą, adjutantami, lekarzami itp., posprowadzał jakieś nadzwyczajne wozy wojenno-polowe a nawet drukarnię do odbijania odezw itp. pism na Wołyniu!

Nieszczęsna ta wyprawa pochłonęła ogromnie wiele pieniędzy z kraju wycieńczonego dobrowolnymi podatkami tak na tę, jak i na poprzednie wyprawy. Z jakimi to trudnościami sprowadzano broń i inne przybory bojowe, z jaką ostrożnością należało je przechowywać, ile z nich zabrały władze austriackie i ile osób te pośredniczące czynności długotrwałem więzieniem odpokutowało, nie da się opisać w krótkości.

A przecie byli i domorośli dowódcy, którzy ze swymi gorzej opatrzonymi oddziałami opierali się nieprzyjacielowi nie godzinami, lecz tygodniami, a nawet miesiącami, bywali co prawda wypierani, ale i zwyciężali!

Zresztą niech o tem piszą zdolniejsi odemnie sprawozdawcy.

Wiedeń, w lecie 1909 roku.

Stanisław Kądzielski.



286481

